16

CECYLJA TORMAY

KSIĘGA TUŁACZY

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU
REDAKTOR I WYDAWCA IG. PŁAŻEWSKI

WARUNKI PRENUMERATY

z przesyłką pocztową:

	a) Wydanie luksusowe na grubym, wykwintnym papierze				b) Wydanie zwykłe			
	w brosz		w opraw		w brosz.		w opraw.	
Kwartalnie	zł.	9.90	zł.	17.10	zł.	6.50	zł.	9.75
Półrocznie	„	19.50	„	34.—	„	12.50	„	19.—
Rocznie .	„	38.—	„	67.—	„	24.—	„	37.—

TOM 17

OG. ZBIORU T. 116

ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

R.

CECYLJA TORMAY

KSIĘGA TUŁACZY

NOTATKI Z 1918—1919 R.

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
STANISŁAWY STUDNICKIEJ

TOM I

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
1928

Okładkę projektował art.-mal. Henryk Nowina-Czerny
Tłoczono w Zakładach Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.

CECYLJA TORMAY.

Cecylja Tormay, autorka powieści „Księga tułaczy", wybitna węgierska powieściopisarka, urodziła się w 1878 roku w Budapeszcie. Z początkiem 1900 r. wystąpiła z pierwszemi nowelami; po dwóch zbiorkach tych nowel ukazała się w 1911 r. pierwsza jej powieść, pod tytułem „Ludzie wśród kamieni", która doczekała się już dwóch wydań. Powieść ta opowiada smutną historję miłosną kroackiej pastuszki i węgierskiego kolejarza z Alföld. Nastrojowym jest tam zwłaszcza opis martwych okolic kroackiego Karstu.

Najpiękniejszym jej utworem jest powieść obyczajowa pod tytułem „Dawny dom", która ukazała się w 1914 r.; wyróżniona została przez węgierską Akademję Umiejętności nagrodą Peczely'a. Powieść ta miała 11 wydań; rozwija się w niej przed naszemi oczami historja starej rodziny niemieckiej w Budapeszcie. Pisarka wykazuje, jak wzmacniały się i osłabiały równocześnie rodziny niemieckie, przeniesione na Węgry, i w jaki sposób niemiecki Peszt stał się miastem węgierskiem. Mistrzowsko przedstawia sto-

sunek wzajemny trzech pokoleń niemieckiej rodziny patrycjuszowskiej: dziadków, mówiących tylko po niemiecku, dzieci, mówiących już i po węgiersku, wreszcie wnuków, którzy, pod przekształcającym wpływem ziemi węgierskiej, stali się czystymi Węgrami.

Książka ta zaznacza się w literaturze węgierskiej niezwykłemi artystycznemi nastrojami; jest powieścią o głębszej myśli, tak pod względem przeprowadzenia akcji, jako też pod względem stylu. Cecylja Tormay jest mistrzynią w odtwarzaniu sytuacyj, które wzruszają serca i utrwalają się na zawsze w pamięci.

Tom nowel pod tytułem „Figury woskowe" wyszedł w 1918 r. i doczekał się 9 wydań.

Pani Tormay, podczas rewolucji Karolyi'ego i dyktatury proletarjatu — Beli Kuna, prowadziła dziennik, który później ukazał się w dwóch tomach, pod tytułem „Księga tułaczy". W książce tej ukazuje nam we wstrząsających scenach straszliwe dni obu rewolucyj. Pisarka nie politykuje, tylko opowiada, co na Węgrzech przeszła ona sama i cała warstwa inteligencji; dzięki mistrzowskim portretom komunistów, którzy dostali się na czoło państwa, i szeregowi okropnych scen, książka ta staje się jednem z najbardziej wartościowych źródeł do zbadania duchowego świata owych czasów.

Dzieło to obiegło całą zagranicę, przyczyniło się w znacznej mierze do oświecenia Zachodu i stało się równoważnikiem podziemnej roboty, prowadzonej przeciw Węgrom.

Pani Tormay wzięła również udział w narodowej pracy restauracyjnej na polu społecznem;

ona to zorganizowała i nadała kierunek Narodowemu Stowarzyszeniu Kobiet *przez wydawanie literackiego i krytycznego pisma* „Wschód słońca", *stworzyła i żywotnym uczyniła organ, którego węgierskiej współczesnej literaturze i węgierskiemu życiu intelektualnemu dawno brakowało. Prace jej tłumaczone są prawie na wszystkie języki kulturalnego świata.*

(—) *Dr. Adrjan Divéky*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Od zawieszenia broni do komunizmu.

I. Upadek monarchji austro-węgierskiej.

Miasto przygotowuje się do Święta Umarłych, na rogach ulic sprzedają wśród mgły białe chryzantemy jesienne. Tłum czarny, tłoczy się, zabiera kwiaty, lecz nie dla cmentarzy... Żywi nie ozdabiają grobów w tym roku...

Kwiaty cmetnarne, białe nietrwałe astry. Miasto przybrane w kwiaty żałoby, pod niebem beznadziejnem: oto Budapeszt w dniu 31 października 1918.

U wyższych pięter domów powiewały chorągwie wilgotne i pomięte. Chodniki pełne były nieczystości. Wśród błota walały się strzępy papieru, resztki afiszów, białe zdeptane kwiaty. Miasto było ponure i splugawione, jak wstrętna sala karczemna nieprzewietrzona po orgji nocnej.

W noc tę objęła władzę „Rada Narodowa" Michała Karolyi'ego. Czyśmy już tak nisko upa-

dli? Uczułam w sobie protest drażniący, gorycz niewypowiedzianą. Wąskie trójkolorowe paski papierowe z napisem: „Niech żyje węgierska Rada Narodowa" przyciągały bezwiednie oczy moje. Kto pragnął tej Rady? Kto jej się domagał, dlaczego znosiliśmy ją?... płonęłam wstydem.

W Wiedniu, hrabia Juljan Andressy, minister spraw zagranicznych Monarchji Austro-węgierskiej, prosi rozpacznie o pokój odrębny.

Nagle przypominają mi się drobne krzyżyki w dalekich lasach... Widzę, za mgłą wojenne mogiły niemieckie, u stóp Karpat, na granicy Transylwanji, wzdłuż Dunaju... „Padli w obronie ziemi madjarskiej". A oto my opuszczamy matki, żony, dzieci tych, co śpią w owych grobach.

Krew napływa mi do twarzy, wszystko się chwieje, nawet honor narodu. Raporty przychodzące z armji zdają się bezsensowną gadaniną. Napróżno triumfują bohaterowie nasi na górze Aslone. W Wenecji, nad brzegami Dunaju, Dryny i Sawy armja już się cofa. Tutaj w stolicy składają w koszarach przysięgę wierności „Radzie Narodowej Karolyi'ego".

Hańbiąca tragedja. Nad pustym pałacem królewskim, u przyczółków mostowych, na statkach na Dunaju powiewają chorągwie, jakby w dzień święta...

Doszłam do mostu Elżbiety. Luźnemi grupami, rozbrojeni, przechodzili koło mnie żołnierze bośniaccy. Większość niosła ra ramionach małe wojskowe skrzynki. Żołnierze ci, wołali, nie wiedzieć czemu: „Vivat". Niektórzy

zaś po serbsku „Jivio"... Odsyłano ich do stron rodzinnych. Szli w kierunku dworca. Motocykl pędził przez most. Tramwaje przestały chodzić. Samochody opanowały cały most. Pędziły szybko, z hałasem, jak uwolnione z więzów wściekłe dzikie zwierzęta. W samochodach uzbrojony motłoch i żołnierze. Malcy, zbiegli terminatorzy strzelali w powietrze unosząc z wysiłkiem broń wgórę, strzelby bowiem były ciężkie. Całość sprawiała wrażenie wstrętnej zmory... Od strony Dunaju wciskał się pomiędzy domy Pesztu wiatr wilgotny, zimny.

Znowu padał deszcz. Gdzieś, w kącie, trzech ludzi chroniło się pod jeden parasol. Grube ich obuwie stukało po wodzie na bruku, jak puste pudełka, odzież ich zdawała się też pustą. Woda spadała kroplami z kapeluszów na kołnierze. Można w nich było poznać zdaleka drobnych urzędników. Zapewne od lat przeszło 30 szli o tej godzinie do biur swoich... A oto ziemia usuwała się pod ich stopami... Nie wiedzieli co robić z sobą.

...Nielegalność... Przysięga oficjalna... obowiązek urzędnika... Ach, gdyby się to nie było zmuszonym do pracy zarobkowej... A inni?... Może tam poszli również? Trzebaby spytać pana radcy..."

Rozważali, znowu szli dalej, zatrzymując się co chwila po paru krokach. Gdy się obejrzałam za nimi, oddalali się już szybko, jakby opanowani przez dawną rutynę, od której uwolnić się nie mogli.

Na słupach powiewały zadrukowane arkusze, pod niemi przechodził tłum gęsty, powol-

ny. Ludzie szli popychani siłą fatalną, niezdolni zatrzymać się ani odwrócić. Tłum nadchodzących zmuszał całą ulicę do posuwania naprzód. Jak ponure olbrzymie zwierzę, czołgające się po asfalcie z szyją obciążoną ogromnem jarzmem, ślizgał się tłum ten, kołysząc się z prawa na lewo i wykrzykując „Wiwat".

Czułam, jak mi rozpierał gardło krzyk dziwny, niemy. Chętnie dałabym tym ludziom znak, by się zatrzymali, zawrócili z drogi, lecz dziwny falisty ruch tłumu miał w sobie cechę ślepego przeznaczenia, które powstrzymać niepodobna. Było też tam jakieś posłuszeństwo tajemniczym rozkazem. Czasem w przerwach fali przesuwały się krótkim, szybkim pędem wspaniałe automobile. W powozach tych rzucały się w oczy wstęgi o barwach narodowych, białe jesienne kwiaty i mocne charakterystyczne semickie twarze. Za niemi płynął całą ulicą potok ludzki.

Skierowałam się w przyległą ulicę. Po bruku toczył się wózek, siedzące w nim wieśniaczki szwabskie kiwały się wesoło wśród baniek mleka. Wtem — nie spostrzegłam skąd się wzięli — trzech marynarzy zagrodziło im drogę. Wygląd mieli wstrętny. Jeden z nich złapał konia, za wędzidło, reszta w jednej chwili znalazła się na wózku. Kobiety wzięły to zrazu za żart. Spojrzały po sobie, po tępych twarzach przeszedł uśmiech. A marynarze nie żartowali. Zwymyślali wieśniaczki, wyrzucając je z wózka. Potem, jakby to była rzecz najzwyklejsza, wśród białego dnia, w centrze stolicy, zabrali cudze dobro. Raz, drugi świsnął bat nad ko-

niem i złodzieje umknęli kłusem. Wówczas dopiero kobiety zrozumiały: zaczęły krzyczeć ostrym wiejskim dyszkantem, wołały pomocy, wskazując stronę, w którą odjechał wózek. Na ulicy pełno było ludzi, lecz ulica była podłą, nie pomogła im, ludzie śpieszyli się, obojętni na cudze nieszczęście, jakgdyby nieszczęście to było zaraźliwe.

Wszystko głupie było i brzydkie... Zdawało mi się, iż każdy z nas, tu przechodzących, coś stracił. Nie miałam siły iść za biegiem własnych myśli. Czułam zawrót głowy. W bramie pobliskiego domu dwóch włóczęgów napadło na oficera. Jeden z nich miał nóż kuchenny. Grozili. Podniósł się jakiś kij. Włóczęgi zerwali kepi porucznikowi. Brudne ręce szukały jego szyi. Nóż mignął u kołnierza... Obcinali gwiazdki oficerowi, na piersi którego widniał krzyż zasługi i wielki medal złoty. Motłoch chichotał. Drobny porucznik, z obnażoną głową, kredowoblady stał pomiędzy nimi. Nie powiedział nic. Nie bronił się. Wzruszył tylko nerwowo ramionami.

Potem uczynił ruch dziecka, zbierającego się do płaczu. Przysłonił oczy odwróconą dłonią lewą. Biedny mały porucznik... Dojrzałam wówczas, że nie miał prawej ręki.

A ludzie udawali, że nie widzą, jakby się cieszyli, iż to jeszcze nie ich kolej... Wszystko było jakieś niejasne, pomieszane, jak we śnie gorączkowem, gdy śpiący, nawpół zbudzony, stęka jeszcze, nie wierzy w sen swój, a niepokoi się.

Co to było?... Odruchowo podnoszę do czo-

ła drżącą rękę... Przed gmachem, na placu, pod nagiemi drzewami, grupa żołnierzy. Trzymali rozpostartą materję trójbarwnej chorągwi, trzymali jakby dla zabawy. Jakiś mały człowieczek o krzywych nogach, o włosach zwichrzonych, wycinał pośpiesznie nożem koronę, umieszczoną nad herbem Węgier. (Herb Węgier ma u góry Koronę św. Stefana, nadaną przez papieża Sylwestra II pierwszemu królowi Węgier).

Nikt go nie powstrzymywał. Pomagano mu nawet, przytrzymując materjał. Odczułam wówczas jakieś palenie wewnętrzne, bolesne dla wszelkiego dotknięcia. Odwróciłam głowę, by nikt nie dojrzał mej twarzy, czas mijał, spostrzegłam, iż się zgięłam niemal we dwoje. Wyprostowałam się. Wypadkiem wypłynął w świadomości mej wyraz z jakiejś odezwy: „Towarzysze!".

Odezwa partji socjal-demokratycznej widniała przede mną na murze.

„Robotnicy! Towarzysze! Egoizm warstwy rządzącej popchnąć musiał kraj ten ku rewolucji. W środę w nocy, bez przelewu krwi przyłączyły się pułki do Rady Narodowej i zajęły główne punkty miasta: pocztę, centralę telefonów, kwaterę główną. Przysięgli na wierność Radzie Narodowej. Towarzysze! Robotnicy! Oto kolej na was. Kontrrewolucja zapragnie zapewne zagarnąć władzę. Należy pokazać, iż wy żywicie te same uczucia, co bracia wasi, żołnierze. Idźcie na ulicę. Zaprzestańcie wszelkiej pracy.

Partja socjal-demokratyczna węgierska".

Dziwnie podziałała na mnie ta odezwa. Partja robotnicza, dążąca do panowania, rozkazuje w pierwszej swej odezwie: „Zaprzestańcie pracy!". Po takim początku, co mogą rozkazać jutro? a potem?

Naprzeciw mnie szli ludzie. Robotnicy, którzy już robotnikami nie byli: już nie pracowali. Żołnierze, co przestali być żołnierzami: nie znali już posłuszeństwa. Nic w tem nieczystem powietrzu nie było tem, na co wyglądało. Liczne flagi czerwono-biało-zielone, wiszące na domach, obecnie nie były naszemi flagami. Liczne kokardy o narodowych barwach również nie były narodowe. Prawdę mówiły tylko te astry... kwiaty cmentarne.

Nie wiem, czemu o tem myślałam. Wolno szłam przed siebie. Gdy wtem... na szklanych drzwiach małego, ciemnego sklepu tytoniowego, pomiędzy wywieszonemi gazetami, ujrzałam przed sobą plakat poziomkowy, chorobliwie czerwony. Ten mówił już czerwono: „Niech żyje węgierska Rada Narodowa!". I odtąd, jakby wstrętna zaraza, mnożyły się wciąż czerwone plakaty, coraz śmielszy i bardziej wyzywający był ich kolor. Później dowiedziałam się, że tchórzliwi kupcy płacili za te „ubezpieczenia wystaw" setki, a nawet tysiące koron do kasy „Rady Narodowej".

I wszędzie, naokoło: „Węgierska Narodowa Rada". Ale czego właściwie chce ta ciemna zgraja? Jak śmie nazywać się Radą Narodową? Kto są ci, którzy z hotelowego pokoju wydali odezwę do narodu, a w niej obiecują: natychmiastowy pokój, równouprawnienie narodów...

socjalną politykę, która wzmoże siły ludu pracującego?...

Kto to mówi? Kto w godzinach najcięższych dla Węgier ogłasza się ich zbawcą?... Hrabia Michał Karolyi i Róża Schwimmer! Marcin Lavaszy i baron Ludwik Hatvany-Deutsch, i t. d. i t. d.

Jedenastu żydów i ośmiu Węgrów.

Ogarnął mię niewypowiedziany wstyd. Boże, gdzież jest król? gdzie rząd? wojsko? a więc niema nikogo, ktoby w nich uderzył. Nikt się nie opiera. Oddawna przygotowywali oni ciemne, zwierzęce swe siły. Zburzyli wszystko, co węgierskie. Na balkonie przemawia jakiś szpetny człowiek. Stoję daleko, po drugiej stronie. Dolatują mię luźne słowa: niepodległe, samodzielne Węgry... demokracja... reformy socjalne... platforma międzynarodowa... wojna za cudze interesy... Na rzeź prowadzili nas panowie.

— Ten grubas właśnie do tego się nadaje— mówi pogardliwie jakiś żołnierz, stojący wpobliżu zaczynają się śmiać. Jakiś młody żyd rzuca w tłum nazwisko Stefana Tiszy, Zaczynają się okrzyki przeciw niemu. Zachrypnięty głos krzyczy:

„Niech żyje rewolucja!".

Zatrzęsłam się. Tak otwarcie, na ulicy usłyszałam to po raz pierwszy. Ale wyraz nie znalazł oddźwięku. „Precz z królestwem!". To podobało się tłumowi. To było nowe, nie dotykał się jeszcze tego dotąd; krzyczał więc cały chór. Wtem ktoś poddał: „Do Gödöllö!".

„Do Wersalu, do Wersalu!" — wrzeszczał

sto trzydzieści lat temu zgłodniały tłum paryski, w Budapeszcie zaś krzyczą podobnie spasieni urzędnicy bankowi.

W Budzie jakiś żołnierz sprzedawał przechodniom karabiny skarbowe po pięć koron. Inny znów częstował bagnetami.

Po tej stronie Dunaju miasto było spokojne. Oni dopiero jutro, przy rannej kawie dowiedzą się, co się stało. Po tamtej zaś stronie krzyczano: „Niech żyje rewolucja!".

Rewolucja?... Szaleństwo! Do czegoby się teraz przydała rewolucja? Nie, tego nikt poważnie nie bierze, nawet ci, którzy ją robią. Szaleństwo! — uspakajałam się, powtarzając to słowo. Nic z tego nie będzie — od tysiąca lat, każdy nasz wybuch był tylko walką o wolność. A przecież wolność mamy: niepodległość sama pada w ramiona narodu...

Niemożliwe jest, aby kilka ulic w jednem jedynem mieście robiło rewolucję, gdy jej nie chce kraj cały...

Nie wiem dlaczego przyszła mi na myśl nadzwyczajna powieść Dostojewskiego „Demoni".

W nocy gęsta mgła otoczyła dom. Z oddali, od strony miasta słychać było pojedyńcze strzały karabinowe.

Centrala telefoniczna nie odzywała się. Strzały się zbliżały. Wtem w ogrodzie rozległ się strzał jeden, potem drugi. Ten już bardzo blisko. Kula uderzyła w kasztan, przed mojemi oknami.

Działało to na mnie niezwykle. Wydawało mi się, jakby przeżywał wszystko kto inny, nie ja, jakgdybym czytała o tem w książce.

Zgasiłam lampę, aby oświetlone okno nie mogło być celem, i pociemku zeszłam na parter. Przez drzwi pokoju mojej matki sączyła się smuga światła. I ona nie spała. Weszłam: cichutko siedziała w niewygodnie wysokim, staroświeckim krześle. Na skrzyp otwieranych drzwi odwróciła się. Przez chwilę milczałyśmy. Na dworze nic nie było słychać.

— A więc już nie strzelają? — zapytała matka, po chwili, z tym nadzwyczajnym spokojem, który widziałam na jej twarzy zawsze, gdy los jej nie oszczędzał.

— Jakoś to przejdzie! I to musimy przeżyć — powiedziałam, aby cokolwiek powiedzieć.

W tej chwili usłyszałam rozmowę na dworze. Pomyślałam: „Jeżeli się wedrą?..."

Trzeba pochować pieniądze. Na wszelki wypadek. Teraz nie dostaniemy więcej, gdy te nam zabiorą. Znów rozmawiają koło bramy. Po chwili cisza — naradzali się... Kroki oddalały się. Ostrożnie weszłam po schodach, niech nie słyszą, że dom czuwa.

Pokój wychłódł, gdy byłam na dole. Długo stałam w miejscu. Ze dworu dochodziły mnie szmery. Pod oknem opadały liście z kasztanu. Czas opadania liści: noc listopadowa... Całe powietrze przepełnione jakiemiś tajemniczemi szmerami. Jakby ktoś ostrożnie chodził po ogrodzie i, skradając się, szedł w stronę lasu.

Co nas czeka?

Niewidzialnie, bez przerwy, jak cykanie zegara, z cichym szmerem opadały liście. Gdzieś, daleko padł strzał! Pies jakiś wył pod bramą.

Wył dziwnie, przeraźliwie, niby u wezgłowia umarłego pana... Nie — to nie pies wyje — to noc wyła w stronę Węgier.

1 listopad.

Rano dowiedziałam się, że zamordowano Stefana Tiszę.

Było już dobrze po północy, gdy matka moja zamykała drzwi swoje na klucz. Rozwiesiłam chusteczkę jedwabną na kloszu lampy, by nie było widać światła zewnątrz, i segregowałam nagromadzone na biurku listy. Wtem przerywane dzwonienie. Telefon... Ktoby dzwonił o tej godzinie? tak późno? Cóżby się to stało? Zerwałam się szybko. Głos nieznany przemawiał do mnie z niewidzialnej głębi. Głos przestraszony, obcy. „Uciekajcie, jeńcy rosyjscy z obozu koncentracyjnego w Kenyermezo zbiegli. Idą zbrojni w liczbie około trzech tysięcy. Zabijają, kradną, niszczą. Idą na stolicę. Przechodzą tędy". A więc to była prawda. Chciałam podziękować za zbawczą radę, lecz głos oddalił się, nie usłyszałam go już.

Moskale idą...

Niezdecydowana, stałam czas jakiś w zimnym korytarzu. Co czynić. Mówić z matką. Poco? Powoli, wracałam. W pokoju mego chorego braciszka cisza. Śpią. Tem lepiej... Jakżeby mogli wyjść w nocy na drogę śliską i mokrą? I dokąd byśmy poszli? Uciekać! Słyszałam już kiedyś taki okrzyk podczas trzęsienia ziemi. Lecz dokąd może się udać człowiek, gdy ziemia wszędzie się chwieje? Wąski promień, niby ślepej latarki złodzieja, padał na stół z przy-

ćmionej lampy. Usiadłam, oparłam głowę na ręku. Głowa była pusta, odrętwiała, lecz oto wśród odrętwienia uwypukliły się dwa wyrazy: Moskale idą. Jakby słowa te zbudziły w pamięci mej przeszłość, przypomniałam sobie dzień, gdym je usłyszała po raz pierwszy... Węgry nie chciały wojny. Gdy stała się ona nieuniknioną, Węgry stanęły wobec niej honorowo, jak zawsze i po wszystkie czasy, od tysiąca lat. Stary naród wyruszył dla własnej obrony. W czarnych świątecznych strojach szli wieśniacy przez miasto. Obcasy ich butów uderzały mocno o bruk uliczny, a popularna piosenka brzmiała donośnie: „Nie płacz, nie płacz, matko miła, kwietny czeka na mnie grób"... Ukwiecone sztandary, ukwiecone armaty, pociągi w kwiatach. Dłoń w dłoni, towarzyszyły mężom płaczące żony w barwnych spódnicach, staruszki w chustach na głowach odprowadzały pięknych synów... Moskale idą!...

Był to okrzyk dni owych, powtarzałam więc w sobie: „Dwu tych słów wystarczyło dla poruszenia olbrzymich tłumów morza ludzkiego, co runęło na północ".

. . . .

Lata przychodziły i mijały wciąż zawsze jeszcze skąpane we krwi. Minęło wiele miesięcy letnich od owego tragicznego lata 1914, gdy odchodzili ci, co już wrócić nie mieli. Niema was już, twarze ukochane, towarzysze zabaw dziecińśtwa, przyjaciele mej młodości. Pod Lublinem, na polach Satanowa, pod Daklą, w bag-

nach Polesia, na ziemi serbskiej, nad Aziago, wszędzie płynęła krew wasza.

Zniszczone zostały młode pędy starego drzewa mych przodków. A tak, jak wy, odchodzili też inni, z roku na rok bez przerwy. Aż wreszcie rozległo się wezwanie do broni na ławach szkolnych, dosięgło słonecznych poddaszy chat wiejskich, ławeczek, na których odpoczywają starce w oczekiwaniu wiecznego wytchnienia po trudach życia. Nie pozostało już dojrzałych mężów ani młodzieży po wsiach. Na szerokiej, czarnej roli kobiety siały, kobiety zbierały.

O, męczarnie rodzących się wiosen! o, skąpane we łzach żniwa letnie! Wśród mgieł jesiennych starcy siwowłosi, wlokący się z trudem, opierając wychudłe ręce na rękojeści pługów, zaprzężonych w woły o dymiących jarzmach!

Podczas gdy mężczyźni wszyscy byli daleko pod obcem niebem, na obcej ziemi, cierpiały opustoszałe wsie i miasta od najazdu chałaciarzy żydowskich z Galicji. Rój nowego gatunku opadł okolice rynków i giełdy. Ghetto peszteńskie zaroiło się. Towary znikały, ceny zaś wzrastały z groźną szybkością. Jęcząca czaiła się nędza. Zbogaceni przez wojnę, dzwonili lekkomyślnie złotem, część zaś arystokracji i miljarderzy żydowscy tańczyli, jak szaleńcy, w mieście wygłodzonem, w kraju płaczącym.

Od czasu do czasu przychodziły ponure odgłosy dalekiej krwawej burzy. Czasem wywieszano chorągwie, bito w dzwony zwycięstwa.

Aż dnia pewnego chorągwie okryły się żałobą, dzwony bić przestały...

Król umarł!... Niech żyje król! Stary monarcha zmarł w bardzo późnym wieku. Berło dwu królestw wypadło ze starczej ręki.

W Wiedniu pogrzeb cesarza, — czarne uroczystości żałoby, — w Budzie koronacja, kapiąca złotem. Pękły chmury i przez ziemię zbolałą przeszedł po swem mieście koronacyjnem młody król z młodą królową.

Było to, jak sen. Król śpieszył się. Napróżno składał mu naród u bram twierdzy miłość swoją. Odjechał przed przyjęciem owego książęcego skarbu. I uniósł wiatr niepotrzebną miłość narodu. Coś się zmieniło w lód pod niebem Węgier.

Zimy ówczesne były straszne. Nie pamiętano tak silnych mrozów, mrozów, od których kostniała myśl w mózgu. Dzieci, dziewczynki, starce stali w ogonkach przy składach węgla. Czekali, siedząc obdarci na chodniku. U rzeźników, w sklepach miejskich, przed mleczarniami stały długim szeregiem kobiety, przystępując z nogi na nogę, w oczekiwaniu kolejki, częstokroć od wschodu słońca aż do zmroku. Czekały cierpliwe, milczące, każdy czekał na coś: na życie, na śmierć, wiadomość, lub na zaginionego. Szpitale były pełne. Po całym kraju rozległo się rytmiczne stukanie szczudeł.

Oto do czego doszły szczęśliwe niegdyś Węgry. Pozostawała nam jednak nadzieja. Honor był nieskalany. Ci nawet, co nam życzyli śmierci, szanowali w żołnierzu naszym wspaniałą moc Węgier.

„Będziemy żyli, bo żyć chcemy!...“ — mówili wśród mąk swych ci, którzy cierpieli, — prawdziwi Madjarzy.

Wszystko bowiem, co w kraju naszym było węgierskiem, wiedziało, iż niewolno nam było przegrać wojny. Przegranie wojny zdobywczej jest dla narodu tylko pewnem zachwianiem się wtył, przegrana zaś wojny obronnej jest długim letargiem lub śmiercią, śmiercią faktyczną, śmiercią ostateczną... Nasza wojna była wojną obronną. Byliśmy jedynym narodem w Europie, który nie chciał nic zabrać innym. Pragnęliśmy tylko zachować własność swoją i zdawało się, w krwawe lata wojny, że to, co było naszem od lat tysiąca, naszem pozostanie. Broń zwyciężyć nas nie mogła, lecz wewnątrz kraju doprowadziła nas polityka sporów do przegrania bitwy, ważniejszej od bitew wojennych. Nienawiść osobista i zawiść obaliły hrabiego Stefana Tiszę. Rząd przeszedł w ręce nieudolne. Zniknęła siła, podtrzymująca go dotąd. Gdy z honorem i sławą odchodziła na dalekie pola bitew Równina węgierska, Siedmiogród, Węgry Górne i Transdunajskie — w przeludnionej stolicy — w czasie, gdy kraj stał pustką, zaszło coś... Skutki pracy podziemnej, ponurej, milczącej oddziaływać zaczęły na wypadki. W mrocznej głębi sceny, jak i na scenie samej, migały ciemne sylwetki. Za kulisami szeptali niewidoczni suflerzy, na przodzie zaś zarysowywała się coraz wyraźniej sylwetka jednego człowieka. Człowiek ten powtarzał na głos to, co mu szeptano zdaleka. Człowiekiem owym był hrabia Michał Karolyi.

Przechodziły wciąż z jednego końca Węgier na drugi pociągi niepomiernej długości, przewożąc wojska z oczyszczonego frontu rosyjskiego ku granicom Włoch i Francji. Koniec wojny nigdy nie wydawał się tak bliskim. Nadzieja zwycięstwa czarowała dusze. Zamilkli nawet źli wieszczkowie. Na horyzoncie unosiła się fatamorgana honorowego pokoju. Granice Węgier pozostawały nienaruszone. Takie były warunki kraju naszego. Nie pragnęliśmy nigdy czegoś innego. Całość Węgier. Zaciskaliśmy zęby. Wytrzymać do końca. Było to ostatnie naprężenie siły. Potem będzie już wolna droga na drugie tysiąclecie.

Jakby nóż ostry, przemknął błysk jakiś w ciemności. W świetle błysku tego dojrzeć można było świeżą ranę na silnej duszy narodu.

W pierwszych dniach stycznia rozpowszechniać zaczęli nieznani wrogowie drogą kontrabandy proklamacje, wzywające do buntu robotników z fabryk broni i amunicji.

W nocy krążyły owe antynarodowe druki po izbach koszar: „Bracia robotnicy!... Bracia żołnierze!... Ani jednego centa, ani jednego człowieka dla armji..."

Wróg ukrywał się pomiędzy nami. Naród walczący o życie, domagał się, oburzony: „Niech się wróg ukaże!... niech go zdemaskują!..." Gdy się zerwało maskę zbrodniarzowi, ujrzano w całej jasności twarz jego o mrugających oczach: był to przedstawiciel jednej z pseudouczonych organizacyj, stworzonych przez wolnomularstwo Filji Węgierskich szkół

wyższych, wolnomyślicieli międzynarodowych. Było to Koło Galilejczyków Budapesztu, czyli młodzieży wyłącznie żydowskiej.

Zdołano wykryć tę małą grupę. Inni, ci, co brali udział w zamachu, usunęli się na plan dalszy: cienie, całkiem niewidoczne w ciemności.

Michał Karolyi uważał wejrzenie w tę sprawę za zbyteczne. Pozostawał na scenie widzialny. Nie niepokojono go, chociaż podejrzani cudzoziemcy wchodzili w bramy pałacu jego. Policja pozostawiała go w spokoju. Wiedziała jednak, że w chwili wyjścia druków defetystycznych Karolyi był w bliskim kontakcie z młodzieżą Galilejską. Więcej jeszcze, spędzał całe godziny w lokalach Koła. Obserwowano go z okien sąsiedniego domu. Lecz moce niewidzialne opiekowały się Michałem Karoly'im.

Opinja publiczna była w owych czasach niespokojnych bardzo nerwową. Niecierpliwie oczekiwała represyj. Policja opieczętowała Koło Galilejczyków. Poczyniono aresztowania. Wreszcie za zamkniętemi drzwiami sali sądowej usłyszano nazwiska niektórych aresztowanych. Nazwiska o brzmieniu dziwnem. Pamiętam je jeszcze: Helena Duczyńska, Teodor Sugar-Singer, Arminiusz Helfgott, Sillag-Stern, Kelen-Klein, Fried, Weiss, Sisa, Ignacy Beller oraz trzech żydów rosyjskich, między innymi pewien jeniec wojenny, nazwiskiem Solom, właściciel aparatu powielającego. Ani jednego Madjara pomiędzy nimi. Podejrzani cudzoziemcy o duszy czarnej przygotowywali naszą zgubę. Nikt nie poruszył tego ani słowem. A jednak lista nazwisk w procesie Galilejczyków

była cenną wskazówką, w której się kryła tajemnica przyszłości. Lecz myśmy odczytać jej nie umieli. Naród węgierski nie umie nigdy wyczytać z chwili obecnej przyszłości swojej. Zamknięto akta procesu Galilejczyków. Sąd wojenny wydał wyrok dziwnie łagodny z dwoma uniewinnieniami. Zapanowało milczenie, to samo milczenie, które w roku 1917 okryło podróż Karolyi'ego do Szwajcarji, zdławiło szepty tych, którzy wiedzieć chcieli, czy on tam naprawdę odkrył Francuzom przyszłą ofenzywę niemiecką, czy pertraktował z syndykalistami i bolszewikami.

Wzburzenie odezwało się dopiero w czasie buntu marynarzy w Cattaro. Pomimo ścisłego przestrzegania tajemnicy przez władze wojskowe, wiadomości się przedostały. Ordynans pewnego wyższego oficera przyniósł list, zaszyty w płaszcz.

Tam, w zatoce Cattaro, flota się buntowała, Mikołaj Horthy, bohater z pod Novary, stłumił bunt i uratował siły morskie monarchji. Podobno władze wojenne przyłapały dwie depesze buntowników: jedną, adresowaną do Trockiego, drugą — do Michała Karolyi'ego... W tym samym czasie mniej więcej przypomniałam hrabiemu Stefanowi Tisza o pewnym liście, który otrzymałam przez Szwajcarję w jesieni roku 1914, o którym mówiłam z nim wówczas natychmiast. W rzeczywistości przyszedł list ów przez Michała Karolyi'ego, którego mobilizacja powszechna zastała na ziemi francuskiej. Podług tego listu, Francuzi wiedzieli dobrze, dlaczego odsyłali Karolyi'ego do ojczyzny. Otrzy-

ma piękną nagrodę, jeśli dobrze pracować będzie: może jeszcze zostać prezydentem Rzeczypospolitej Węgierskiej. Tissa potrząsnął głową: „Przywidzenie — powiedział — byłoby szaleństwem uczynić zeń męczennika".

Tak myślał Stefan Tissa i inni politycy. Nie brano Michała Karolyi'ego na serjo, nie widziano bowiem tych, co stali za nim. Ogół miał wiele trosk innych, życie stawało się bowiem trudniejszem z dnia na dzień, tam zaś, w Brześciu Litewskim prowadzono dalej układy pokojowe. Delegaci Sowietów używali całej swej chytrości dla zyskania na czasie, tak iż wojenni dowódcy niemieccy brzęczeli szablami podczas układów. Ponad głowami naszych delegatów zwracał się Trocki-Bronsztein, sowiecki minister spraw zagranicznych, z mowami agitacyjnemi do robotników i żołnierzy naszych.

Jakby w odpowiedzi na dany sygnał rozpoczęło się atakowanie niemieckiego sprzymierzeńca przez prasę żydowską na Węgrzech. Rozwiązane Koło Galilejczyków zorganizowało demonstrację przed konsulatem niemieckim, tłukąc szyby. Współrodacy Trockich, Radków i Joffych w Budapeszcie wywołali strejki z pomocą podwładnych im organizacyj robotniczych. Poparli w ten sposób swych przyjaciół rosyjskich, osłabiając pozycję naszych delegatów.

Pewnego razu, podczas strajku przechodził Michał Karolyi z żoną w centrum miasta.

Spotkawszy kogoś z krewnych, mieszkającego w dzielnicy zamiejskiej, spytali go z radosnem podnieceniem: „A co, lud na przedmie-

ściach buntuje się?" Odpowiedź przecząca wprawiła ich w przygnębienie. „Mniejsza o to— pocieszali się — lud jeszcze nie jest dojrzały, lecz nie unikniemy rewolucji".

Podniosły się głosy podziemne. W czasach owych słowa były już czynem. Słowa doprowadziły do dzieła. Szerzono poglądy o pochodzeniu niewiadomem. Od pól, aż ku stolicy, w fabrykach, w koszarach ziemia się chwiała ukradkiem, powoli. A jednak nigdy fronty nie były tak silne. Po zawarciu pokoju z Ukrainą i Rosją, były to może ostatnie chwile, w których, gdybyśmy byli okazali siłę, jedność i stanowczość, moglibyśmy się spodziewać zawarcia pokoju mniej uciążliwego. Lecz w owe dni pamiętne dla monarchji, rodzaj nieszczęsnej latarni magicznej wyświetlał wrogom rozprzężenie sojuszu niemieckiego i wewnętrzną niezgodę naszą. Kłamliwe owe obrazy rozdmuchiwały tam ogień, który byłby się osłabił...

Już partja Karolyi'ego pozwalała mówić o kontakcie jego z wodzami Ententy. Poincaré był podobno adwokatem rodziny Karolyi'ego. Krążyły baśnie. Niektórzy twierdzili, iż Karolyi był w porozumieniu z Trockim i że wraz z sympatykami socjalrewolucji organizował tajnie w drobnych gminach podpeszteńskich rady żołnierskie. Zdrajca!

Gdyśmy go nazywali zdrajcą, prasa radykalna robiła go prorokiem, tłumy zaś zbłąkane patrzyły nań, jak na zbawcę ojczyzny. Masoni, socjaliści, feministki i Galilejczycy szli za nim. Niektóre z kobiet, należących do bliższej jego rodziny, jakby przyjęte przezeń apostołki, ota-

czały go, powtarzając bezmyślnie wszystko, co im dyktował. Gdyby który z szeregowców huzarów odezwał się był tak, jak Michał Karolyi, byłby powieszonym, on zaś, chociaż oficer, mówił i czynił, co tylko chciał, nie będąc niepokojonym.

Szlachta w kasynie ściskała mu rękę. W salonach uważano za rzecz zabawną i oryginalną, że córkę swą nazywał „Ewą Bolszewiczką" i, że w dniu Nowego Roku życzył znajomym „szczęśliwego roku bolszewickiego".

Ten arogancki Michał Karolyi, nie pozwalający nawet usiąść urzędnikom w swej obecności, Karolyi, który, będąc gdzieś komendantem na tyłach frontu, nie podawał ręki zakrwawionym i zabłoconym oficerom, przybywającym z okopów, — jeżeli nie pochodzili z arystokracji, — propagował obecnie demokratyzm i równość. Wprowadzał wśród kobiet ze swej bliższej rodziny w modę bolszewizm.

W owem kółeczku, rządzonem przez niego, pewna dama, bliska jego krewna, wołała w zapale demokratyzmu: „Ubóstwiam motłoch!..." Kuzynki pięknej, lecz powierzchownej pani Michałowej Karolyi drwiły z patrjotyzmu, entuzjazmując się dla wszystkiego, co obce, nosiły dziwaczne ponsowe toalety, modny symbol rosyjskiego bolszewizmu. Była to zabawa, lecz zabawa nieostrożna, szkodliwa i niebezpieczna, albowiem ułatwiała ona noszenie publiczne czerwonego stroju rosyjskiego tym, dla których nie było to kwestją mody.

Szalony niepokój ogarnął duszę; a więc wszystko wolno?... Na co jeszcze czekają?

Młody król miał najlepsze chęci. Może i widział niebezpieczeństwo, lecz wahał się, gdy trzeba było przeciąć wrzód, nadawany przez Karolyi'ego i consortes. Ogłosił amnestję w Austrji i wypuścił z więzienia Czechów, którzy go zdradzali. Lud austrjacki, niegdyś tak wierny cesarzom, niezadowolony burzył się przeciw zdrajcom... Na Węgrzech nakazał król śledztwo w sprawie zdrady, śledztwo to nie było nigdy ukończone. Węgrzy, zaniepokojeni, uczuli się opuszczonymi i robili w sercach wyrzuty królowi. Ludzie zaś, działający skrycie, ośmieleni tem fatalnem wahaniem, wyszli na światło dzienne i rozpoczęli wojnę bez przelewu krwi, — atak na Węgry.

Rozwijająca się na zachodzie ofenzywa niemiecka zaniepokoiła w pewnej chwili tych wichrzycieli. Karolyi zbladł i zdenerwował się dowiadując o powodzeniu naszych sprzymierzeńców. Żona jego dostała spazmów płaczu, powiernik ich zaś, baron Ludwik Hatvany-Deutsch zrozpaczony powiedział wobec mnie: „Nie mogło dotknąć nas większe nieszczęście od zwycięstwa niemieckiego. Tysiąc razy lepszym jest dla nas bolszewizm rosyjski niż militaryzm niemiecki". Słowa te sprawiły na mnie wrażenie otwierającej się przepaści. Pamiętam odpowiedź swoją: „Militaryzm niemiecki występuje przeciwko ludziom uzbrojonym, rosyjski bolszewizm idzie z bronią na ludzi bezbronnych. Może się to panu lepiej podoba. Co do mnie z dwu niebezpieczeństw wolałabym militaryzm".

Prasa radykalna podzielała opinje dziennikarza Hatvany'ego. Prasa ta na początku woj-

ny wymyślająca bezwstydnie naszym wrogom, pochlebiała im obecnie. Pisma, które w niebezpiecznym okresie najścia moskiewskiego korzyły się przed potęgą niemiecką, w chwili obecnej, jak osioł z bajki kopały nogą lwa zranionego.

Niemcy były bowiem zranione. Ofenzywa została powstrzymaną, a wróg pałający nacjonalizmem rzucał się na nas gwałtownie.

Na Węgrzech zaczynano mówić o pokoju, Karolyi i jego poplecznicy głosili pacyfizm i internacjonalizm. Prasa triumfowała. Wyrażała pogardę nietylko względem sprzymierzeńców naszych, lecz napadała na wszystko, co było madjarskie. Nie było już nic świętego, plwano na wszystko. Szargano bezkarnie imię Stefana Tiszy. Bohaterowie nasi stali się przedmiotem szyderstw publicznych, puszczano nawet niegodziwe plotki o królowej Zycie.

Prasa radykalna zaczęła z gorączkowym pośpiechem tę pracę destrukcyjną. Rzucała podejrzenia, oskarżała, wzbudzając w tłumie nieufność. Szerzyła wśród Węgrów niezgodę. Wyszydzała co było od tysiąca lat świętem dla narodu.

Umiejący patrzeć widzieli z boleścią, iż nie w amunicyjnych fabrykach Ameryki, Anglji, a nawet Francji przygotowywał się dla nas pocisk śmiertelny, lecz tutaj, u nas samych, w drukarniach prasy lewicowej. Z pomocą obcych odlewano pocisk ten małemi ołowianemi czcionkami.

Pod tym złowróżebnym znakiem nadeszło

piąte lato wojny, przynosząc ze sobą piąte złe zbiory... Na zachodzie cofał się front niemiecki w sposób straszliwy, niepowstrzymany. Na wschodzie nad Karpatami leciał wiatr rewolucji rosyjskiej.

Kruszenie się potęgi niemieckiej, dawne błędy wojennego zarządu austryjackiego, niepowodzenia naszej armji nad brzegami Piawy, gorycz ofiar krwawych, niezliczonych ze strony madjarów, duch wojenny wspólnej (austro-węgierskiej) armji, nienawidzącej wszystko co węgierskie, fatalna niezgodność naszych polityków, rozpaczliwa nieudolność rządu, nie mającego siły oparcia się i zaradzenia złemu, nędza, drożyzna życia, wyczerpanie... wszystko się skupiło ku zgubie Węgier.

W Arad, w Nagyvarad zbuntowało się kilka pułków, odmawiając posłuszeństwa. W koszarach znaleziono proklamacje, wzywające do buntu. W Budapeszcie przybrały tłumy robotnicze stanowisko groźne. Nie stano już cierpliwie w ogonkach przed sklepami kolonjalnemi, lub miejskiemi. Często wówczas zatrzymywałam się na chodniku, by słyszeć, co ludzie mówią.

Wewnątrz sklepów wypompowywał z nich handlarz resztę siły żywotnej, na ulicy płatny agitator usiłował zręcznie podbudzić ich przeciw „burżujom".

„Od nas tylko zależy przerwanie wojny. Czyż nie jesteśmy większością?". Pewnego razu, pamiętam, przemknął powóz, siedziała w nim kobieta chora, wybladła. Wśród czekających przed sklepem rozległ się pomruk: „Nie

może to ona iść pieszo". Posypały się słowa plugawe. Spojrzałam wzdłuż szeregu. Agitator zniknął, lecz rzucone przezeń nasienie zakiełkowało nagle. Tłum był podrażniony i prowokował wymyślaniem, osoby lepiej ubrane: „Poco mu takie dobre palto"... Zawiść i nienawiść zmieniły wygląd ulicy. Miasto przeżywało dławiącą, odurzającą wigilję własnego samobójstwa, przygotowywało się do uśmiercenia samego siebie rozdzierając rozpacznie własne wnętrzności. Wówczas to przyszła wiadomość o odstępstwie bułgarskim.

Pamiętam ten dzień okropny. Było to 30 września...

Boleść gorzka paląca w duszy. Udałam się na pogrzeb mego małego chrzestnego syna, który właśnie był umarł wpobliżu Hortobagy na Wielkiej Równinie, przechodziłam przez natłoczoną stolicę. Ulice pełne były ciekawych. Wszyscy czytali gazety i posuwali się krokiem niepewnym, jak porażeni wspólnym ciosem.

Nikt nie wiedział, co miało nastąpić. Nie zrozumiałam również odrazu, dopiero później. Dwóch Żydów rozmawiało: — „Tu jeszcze się trzymają. Bułgarzy mają szczęście. Dadzą im dobre warunki pokojowe. Warunki pierwszej klasy. Oto, początek pokoju".

Rzecz dziwna, ludzie ci cieszyli się.

Uśmiechnięte słońce złocące dachy, cała wspaniałość wczesnej jesieni przypominały mi świeżą i czystą jasność wczesnej wiosny z przed wielu laty. Przechodziłam wówczas właśnie przez to samo miejsce. Kiedyż to było? Serce mi się ścisnęło. Tak świeciło słońce nad powie-

wającemi chorągwiami w dzień zwycięstwa pod Gorlicami. I nagle, wśród łez, stanął mi w oczach chłopczyk umarły, obraz zmarłej nadziei. Mały Andrzej Tormay. Urodził się w czasie wojny. Uśmiechnął się i odszedł. Nie wiedział nic o wielkiej wojnie światowej. Ostatni olbrzymi akt zakończył się jednocześnie ze śmiercią małego. Lecz, czy to naprawdę akt ostatni, czy początek innego dramatu?...

Gdzieś zapiał kogut i zbudził mię z mych wspomnień. Przesunęłam obie ręce po twarzy i wstałam zziębnięta. Pokój ochłodził się podczas tej długiej nocy. Zdało się, jakby pomiędzy prętami żaluzyj kreślił ktoś w cieniu delikatnym pendzelkiem niebieskie smugi krzepnące szybko.

Świta. Patrzę na szary mrok, pragnęłabym myśleć o ranku. Lecz wspomnienia mnie prześladują.

Odkąd Bułgarzy złożyli broń, życie jest jednem pasmem udręczeń. W szeregu wspomnień wypadków ówczesnych mam pewne luki, Wilson. Nazwisko to krzepiło jasne umysły zachwiane. Nieszczęsna idea, która się stała pułapką wielkich narodów i legendowych armij: Pokój! Pokój! Czarodziejskie to słowo unosiło się poza polami bitew, napadając od tyła na broniące się jeszcze armje. Pokój! Tylko to jedno słowo brzmiało na wszystkich frontach. Z dalekich wybrzeży oceanu odpowiedziano cesarstwu Niemieckiemu: „Niema pokoju, wypędzicie cezara swego". U nas, jakby dla zabawy, studjowano podręcznik rewolucji

rosyjskiej w obozie Karolyi'ego. Tisza i Androssy pogodzili się. Późno, zbyt późno...

Znowu dzień pamiętny. Siedemnastego października odbyła się sesja Parlamentu i prezes Rady, Aleksander Wekerle ogłosił unję personalną, to jest związek Austrji z Węgrami, jedynie przez osobę monarchy. Zapóźno... Pragnienie wieków, nadzieje pokoleń całych, były teraz tylko workiem piasku. Wspólne cesarstwo, dualizm, wspólna armja... W pośpiechu zrzucano to wszystko dla uratowania balonu monarchji. Opozycja śmiała się. Władysław Fenyes przepowiadał rewolucję na marzec i zwracając się do Tiszy mówił o szubienicach.

„Parodja rewolucji" — mówił Tisza pogardliwie.

Karolyi rozpoczął przemówienie. Wtem zerwała się burza, jeden zaś z ludzi Karolyi'ego, Marcin Lovaszy zaryczał na sali: — „My jesteśmy przyjaciółmi Ententy". To otwarte przyznanie się do zdrady obiegło salę, miasto, kraj oburzony i poszło żebrać poklasku naszych wrogów.

Co tylko było wśród nas uczciwego wołało: „Hańba tym, co w chwili konania naszego nazywają siebie przyjaciółmi naszych katów". Pewną jestem, iż tak, jak my, odepchną mocarstwa Ententy przyjaźń tę z pogardą, albowiem wodzowie i politycy nieprzyjacielscy posiłkują się zdrajcami, lecz się z nimi nie bratają.

Po owem hańbiącem zebraniu uczyniono u drzwi Parlamentu zamach morderczy na hrabiego Stefana Tiszę. Niegdyś strzelał do Tiszy

poseł Kovasc-Strasser, obecnie niejaki Lekai-Leitner. Obaj byli z Żydów. Dwudziestego drugiego października przemawiał Stefan Tisza po raz ostatni w Parlamencie: „Powinniśmy stać u boku sprzymierzeńców naszych, jeśli wypadnie nam paść, padniemy zaszczytnie razem". Głos jego, który nie skłamał nigdy, mówił dalej nieszczęśliwemu narodowi: „Przegraliśmy tę wojnę... Smutne te słowa zabrzmiały, jak dzwon żałoby po kraju i, jak kosa śmierci, ścięły wszelkie nadzieje.

— Tisza to powiedział!... To wystarczało. Jak wciąż odnawiane rany, wypadki poszły szybko jeden po drugim. Wilson dał odpowiedź monarchji proszącej o pokój. Nie wszedł z nią w układy. Zawiadomił wielką walącą się potęgę, że ma się w sprawie pertraktacji zwracać do Czechów, Rumunów, do Serbów. Chciano nas upokorzyć... Upokorzono nas. „Lecz mamy jeszcze własne wojsko... Uczepiliśmy się tej myśli. „Wojska węgierskie wrócą z różnych frontów".

23 października, któryś z posłów partji Karolyi'ego zawołał na sali zebrań Parlamentu, iż za przybyciem króla do Debreczyny, zagrano tam „Gott erhalte". Nikt nie żądał stwierdzenia tej wieści. Wybuchnęło sztuczne oburzenie, zapowiadające burzę. Hymn cesarzy austrjackich w samem sercu Węgier. Czyż nawet w owych chwilach krytycznych nie poznali nas austrjacy. Nawet w chwilach takich nie zapominają Austrjacy... W czasie posiedzenia przeczytał Karolyi sfałszowaną depeszę: „We Fiume zbuntował się pułk kroacki". Opo-

zycja miała już dwa atuty w ręku. Wtem powstali dziennikarze w trybunie prasy i z okropnym hałasem przeszli na stronę obozu Karolei'ego. Stała się rzecz niemożliwa: w sali rozpraw Parlamentu węgierskiego obalili rząd węgierski lewicowi dziennikarze z trybuny prasowej: Zrozpaczony Tisza rzucił okiem na trybunę i dał znak Wekerlemu. Co się stało z ustawami parlamentu, które omal nie przepłacił życiem przy ich uchwaleniu? Zachwiał się gmach Parlamentu węgierskiego. Wekerle podał się do dymisji: wszystkie partje rozprawiały o konieczności koalicji.

II. Rewolucja na Węgrzech.

W tym czasie odbywał król narady w Gödölő. Wówczas to wyszło w Peszcie na jaw, owo dwuznaczne towarzystwo, które się ukonstytuowało w nocy 22 października w pałacu Karolyi'ego, przyjmując nazwę „Rady Narodowej". Oddział szturmowy zniszczenia, Kółko Galilejczyków pojawiło się znowu. Stanęło ono pod sztandarem danym manifestantom przez Karolyi'ego, przebiegło miasto i doszło aż do Pałacu Królewskiego. Chorąży, niejaki Rappaport, student medycyny, pochodzący z Galicji, zaczepił sztandar u jednego z okien zamku i przemówił do motłochu, napełniającego podwórze. Zbezcześcił króla, głosząc chwałę Karolyi'ego i Republiki. Miasto było obojętne. Faktycznie bowiem tylko ulice, któremi prze-

chodził z niemożliwym hałasem pochód Galilejczyków, wiedziały o tem co zaszło. W pałacu Karolyi'ego ludzie wchodzili i wychodzili pośpiesznie wielkiemi drzwiami. Zapewniano, iż kryli się w nim dezertujący oficerowie i żołnierze i odbywały się tajne zgromadzenia.

Co się przygotowywało? Nikt o to nie pytał. Pisma drukowały długie artykuły o grypie hiszpańskiej. Epidemja była poważną, pogrzebów dużo, lecz pisma jeszcze zło przesadzały. Podawały fantastyczne cyfry, twierdząc, iż zakłady pogrzebowe nie mogą podołać pracy, że grzebią nocami przy świetle pochodni. Wszędzie panował strach przed zarazą. Grożącego nam straszniejszego widma rozruchów nie obawiano się wcale, gdyż nie widziano go.

Nadszedł dzień straszny. Dowiedzieliśmy się, iż, wskutek agitacji prasy Karolyi'ego, złożył broń oddział węgierski na froncie włoskim i wraz z nim pułk wiedeński Deutschmeistra...

Wyłom ten otworzył siłom wojennym Ententy dostęp do Piawy. Ostatnim wysiłkiem energji rozbili je jednak nasi zmuszając wroga do cofnięcia się. Anglicy wypuścili tanki. Szeregowcy, wśród których niszczono dyscyplinę drogą agitacji, nie mogli wytrzymać natarcia. Zbuntowali się i, jak powiadają, generał Wurm zabity został przez własnych żołnierzy.

W Budapeszcie świeciły cenzurowane dzienniki białemi plamami, na ulicach zaś mówiono głośno o „Radzie Narodowej".

Opowiadano, iż na placu Gizelli w lokalu koła partji Karolyi'ego, na trzecim piętrze, można było składać przysięgę owej Radzie. Wi-

dać było wśród tłumu niezwykłą ilość wałęsających się żołnierzy. Po raz pierwszy zobaczyłam na ulicach marynarzy. Skąd się wzięli?

Nazajutrz, w niedzielę 27 października (pamiętam to doskonale), nie ruszałam się z domu. Ludzie spędzający lato w Hüvösvölgy wrócili pośpiesznie do miasta. Panowała cisza, obcinałam suche gałązki krzewów w ogrodzie. O wypadkach wiedziałam tylko z gazet. W wilję dnia tego, za radą Karolyi'ego przyjął król w Gödöllo radykalnego dziennikarza Oskara Jaszyego oraz dwu przedstawicieli korporacyj. Zygmunta Kunfi i Ernesta Garami dziennikarzy socjalistycznych. Prasa Karolyi'ego triumfowała. Zdobywszy czego chciała, nabrała odwagi i mówiła pogardliwie nawet o królu. Biedny młody król! Można jeszcze było w owej chwil uratować wszystko, lecz trzeba było pięści silnej, któraby uderzyła w stół. Piękna ręka króla podług, słów Jaszy'ego, nerwowo bawiła się pierścionkiem... Para monarsza odjeżdżała tegoż samego wieczoru do Wiednia. Zostawiali swe dzieci w królewskim zamku Gödöllo, a zabierali ze sobą Karolyi'ego w specjalnym dworskim pociągu.

„Michał Karolyi, prezes Rady, wybrany przez Węgry", pisały dzienniki poranne. W mieście odbyło się na placu Parlamentu wielkie zgromadzenie ludowe. Lovaszy, Basthyany, niejaki Garbai i „towarzysz" Pogany wypowiedzieli mowy agitacyjne. Jakaś grupa huśtała na znak aprobaty słup, na którym wisiał manekin, mający wyobrażać Tiszę. Wieczorem,

w okolicy dworca Wschodniego oczekiwał tłum powrotu Karolyi'ego z Wiednia.

Później zatelefonował do mnie brat mój Gera. Powrócił był z Badenu, z kwatery głównej. Arcyksiąże Józef i Michał Karolyi przyjeżdżali tym samym pociągiem. Król odwołał arcyksięcia z frontu włoskiego, wysyłając go do Budapesztu jako homo regius.

Arcyksiąże usłuchał, chociaż wolałby połączyć się ze swemi oddziałami i przyprowadzić je do stolicy, dla zrobienia w niej porządku. Nie mówił z Karolyi'm. Dwa ważne błędy. Arcyksiąże przybywał do Budapesztu bezbronny, Karolyi zaś, zadraśnięty w swej nieposkromionej próżności, przybywał, gotów do zemsty. Na dworcu młodzież Kółka Galilejczyków przyjęła go mowami. Machał długą żółtą dłonią, wołając żywo: „Nie poświęcę niezależności Węgier".

Dnia 28 października tłum zgromadzony dokoła klubu partji Karolyi'ego, po gorącem przemówieniu dwu dziennikarzy demagogicznych Barny Buzy i Władysława Fenyesa, skierował się pod przewodnictwem przemysłowca z Matyasfoldu w stronę Dunaju, by wejść do twierdzy i domagać się od arcyksięcia Józefa nominacji Karolyi'ego: „On jeden może nam zapewnić dobry układ pokojowy". Na moście Łańcuchowym powstało zamieszanie. Tłum zwymyślał policjantów. Były wystrzały. Policja odpowiedziała. Padły trupy. Tego tylko potrzeba było agitatorom... Zaryczeli: „Trupy te zrobią rewolucję..." Ile dni przeszło od tego czasu? Jeden... dwa... trzy... wszystkiego cztery dni. Jak

się to już zdaje dalekiem... już... Cztery dni... Zmęczona grzebałam się w myślach.

Dwudziesty dziewiąty października. Przed oczami przesuwały mi się obrazy bez związku.

Błotniste pola. Bielony wapnem domek na skraju lasu, zapuszczony ogródek, w którym po starych drzewach i ścieżkach wił się bluszcz. Od wielu lat chodziłam tam po zieleń na dzień Zaduszny. W tym roku w domku leśnym, o dachu wygiętym, jak skrzydła chrząszcza, mieszka jakiś obcy. Dawni mieszkańcy wyprowadzili się, nowy zaś lokator wydaje się zaniepokojonym otwierając na moje pukanie drzwi ogródka. Patrzy ku drzwiom nieufnie. Nazywa się Stern czy Singer, już nie pamiętam. Sprzedając mi bluszcz, mówi nerwowo.

— Okolice te są teraz naprawdę niebardzo bezpieczne. Liczni dezerterzy włóczą się po lesie. W nocy sypiają po pustych willach.

Spytał mię, do czego mi potrzebny bluszcz.

— W tym roku, — powiadał — będą cmentarze zamknięte na Dzień Zaduszny. Obawiają się zgromadzeń z racji epidemji. A zresztą... kto wie co się stanie do tego czasu, jeśli się król uprze i Michał Karolyi nie będzie premjerem ministrów.

— Mam nadzieję, że nim nie będzie.

Człowiek popatrzał na mnie gniewnie.

— Trzeba, by się dostał do władzy i socjaliści również. Oni jedni uratują Węgry.

— Spodziewacie się zbawienia ojczyzny od tych, którzy zaprzeczają idei ojczyzny.

— Rozumiem to inaczej, — odrzekł człowie. — Nieszczęście Węgier pochodzi stąd, iż

mówiono tu zawsze o ojczyźnie i narodzie. A jednak ani ojczyzna, ani naród nie istnieją. Co do mnie, obojętnem mi jest gdzie mieszkam, w Moskwie, w Monachjum, czy w Belgradzie. Jest to mi całkowicie obojętnem, jeśli mi jest dobrze. Oto ideał, który tylko socjalizm zrealizować może.

— Z komunizmem, jako cel ostateczny. —

— Później... — tak, — odrzekł człowiek półgłosem.

— A doświadczenie rosyjskie? Czy sądzicie, że się tam urzeczywistniło szczęście ludzkości?

— To tylko przejście, — odparł człowiek.

— Przejście, od którego umrzeć można.

Deszcz począł padać białawemi smugami wśród gór.

...Domek ów, mieszkaniec jego i ogródek znikły w mej pamięci. Ujrzałam obraz inny. Pewnego wieczoru, jak zawsze w wigilję Wszystkich Świętych, matka moja, siedząc w salonie w świetle przysłoniętej lampy splatała wianek bluszczowy na grób mego ojca.

— Lepszą jest dla niego śmierć, niż życie na świecie, gdzie się dzieją takie rzeczy, — rzekła.

Tam, nad Piawą klęska. W polu zbuntowała się flota. Na równinie Wenecji przerwany front. Gdy tak rozmawiamy o wszystkiem, matka moja splata wieniec milcząca...

Wreszcie wszystko zaciera się w pamięci.

III. Antymilitarysta ministrem wojny.

2 listopada

Smutny ponury ranek leżał ponad domami. W tramwajach idących ku miastu ludzie byli jak pogoda: szarzy, smutni i zmoknięci. Mówili o buncie w obozie jeńców rosyjskich Rozbrojono ich... pouciekali... Małemi bandami... zaczynają grabić. Pod Vaczem wywiązała się prawdziwa bitwa, dużo zabitych, rannych. „Nic podobnego" — zaprzecza inny „tam byli marynarze". Nikt nic nie wie pewnego.

Tramwaj elektryczny objeżdżał górę Budy. Na miejscu przesiadania, na placu Ireny, kupiłam dziennik. Jak doniesienie o głośnem zwycięstwie rzucały się w oczy olbrzymie litery. „Złożyliśmy broń na wszystkich frontach. W razie okupacji zażądamy wojsk francuskich i angielskich".

Coś ścisnęło mię za serce, gniotło je, męczyło i znowu przyszły mi na myśl Gorlice, Limanowa, Lovcen, Doberdo... Dziennik donosił dalej: „Trzeba nam jeszcze sześciu tygodni dla zdobycia pokoju. Król zwolnił nowy rząd ze złożonej mu przysięgi... Rząd zdecydował zasadniczo ogłosić Republikę... Rząd złożył w Ratuszu przysięgę Radzie Narodowej. „Złożyliśmy broń! Okupacja obca! Król rozgrzesza krzywoprzysięzców! Republika na Węgrzech! Odrzuciłam precz dzienniki... wrogi. Przybyliśmy na koniec mostu Małgorzaty od strony Pesztu. Tramwaj stanął. Chciałam się przesiąść. Jakiś kontroler

zamruczał: „Komunikacja przerwana. Niech pani idzie pieszo".

Na ulicy Szemelynok mury pokryte były plakatami. Wyroki. Rozporządzenia. Odezwy. „Obywatele, sława, cześć i hołd triumfującemu ludowi Budapesztu. Rewolucja ludu jest zwycięską..." Dalej podpis: „Pierwszy demokratyczny rząd Węgier". Dalej jeszcze jedno zdanie: „Naczelnik demokratycznego rządu węgierskiego Michał Karolyi, rozporządza władzą cywilną i wojskową". Wiele słów, słów niejasnych. Czytałam ostatnie wiersze odezwy rządu demokratycznego: „Dla zapewnienia w okolicznościach obecnych przejścia do życia spokojnego i pokojowego, organizujemy Rady żołnierskie i Straż narodową, by pokój wieczny rozciągnął nad nami wszystkimi zgodne panowanie swoje".

Czerwone i białe papierowe plamy i szereg zmienionych podpisów: Heltai, pełniący obowiązki gubernatora Placu.

Linder — minister wojny.

Linder... Nie słyszałam nigdy nazwiska człowieka tego podczas wojny. A jednak zdaje mi się, że go znam... Przypomniało mi się nagle, żem go spotkała na jakimś wieczorze i jakimś five-oclock'u. Za każdym razem sprawił na mnie wrażenie człowieka pijanego.

Na brukowanym placu Parlamentu ludzie tłoczyli się. Z sąsiednich ulic przybywały czarne postacie, oficerowie w mundurach wojennych i konni policjanci. Orkiestra honvedów wymaszerowała. Pośrodku placu wytworzył się kordon wojskowy.

— Co się tu dzieje? — spytałam jakiejś kobiety stojącej głupkowato wśród gapiów na brzegu chodnika.

— Nie wiem.

Młody człowiek, zdający się być jej krewnym, odpowiedział za nią:

— Oficerowie garnizonu budapeszteńskiego (lokalnej straży) składają przysięgę Radzie Narodowej.

— Ilu ich jest — rzekła.

Uczyniła szyją ruch kaczki w kałuży. Młodzieniec śmiał się pogardliwie:

— Nie więcej czterystu.

Z dźwięku głosu i akcentu jego pomyślałam, iż był to Sekler.

Samochody przechodziły koło mnie, aeroplany unosząc się w górę zrzucały krótkie proklamacje. „Zwycięstwo Rewolucji! Lud zwyciężył".

Potężna masa gmachu Parlamentu ciężyła nad brzegiem Dunaju, jak zębata, zgnieciona skała mgły. Na froncie jego nie widać było rzeźbionych herbów starożytnych komitatów i posągów dawnych madjarskich monarchów.

Na prawo i na lewo rozciągał się plac aż do rzeki, na dalszym zaś planie Budy, widzianym przez mgłę, wznosił się na brzegu widmowy konny rycerz ze spiżu. Był to pomnik Andrassy'ego, wielkiego ministra spraw zagranicznych. Zdawało mi się, jakby jeździec uczynił ruch, by zwrócić konia i puścić go wzdłuż Dunaju, grzmiąc po ziemi bronzowemi podkowami. Może chciał zobaczyć, czy rzeka nie zmieniła swego łożyska, rzeka rzeźbiąca w zie-

mi od Czarnego Lasu do Morza Czarnego to samo, co on jako minister wpisywał w traktaty. Czyżby wielki Dunaj, rzeka losu naszego, bieg swój zmieniła? Czyżby zerwała więzy łączące ją z ciałem Europy, że się ośmielono zaprzeczyć sojuszowi?

...Mgły włóczyły się po żółtych drzewach. Zasłona zatrutego miasta odbijała się w wodach, które zatruwała. Rzeka niosła truciznę i, kto wie, może już jutro przerznięte przez nią okolice ogarnięte zostaną przez wrzenie.

Jutro... Wszystko zapadało w tumanie. Dokoła placu przebijały się przezeń domy o niezliczonych oczach. U stóp ich wilgotny asfalt odbijał sylwetki przechodniów. Wszędzie ludzie: w oknach, na schodach Parlamentu, pomiędzy dwoma bronzowymi lwami. Spojrzałam na zegarek, była jedenasta. Przyjechał samochód powitany wiwatami. W środku kręgu, pomiędzy wszystkimi stanął jeden człowiek. Wstąpił na schody Parlamentu, ubrany był w ciemny strój zimowy, na głowie miał sztywny filcowy kapelusz, na szyi — krawat czerwony. Był to Linder, minister wojny. Rozpoczął od poruszania kapeluszem w powietrzu, jakby łapał motyla. Usłyszałam niektóre słowa jego. Mówił tonem ostrym, jąkając się trochę: „Żołnierze, wymagam dyscypliny!... Spełniliśmy sumiennie obowiązek nasz na polu bitwy... wierzyliśmy w ideał, za któryśmy walczyli... Otóż ja, wasz minister wojny, oznajmiam głośno, że ideał ten był fałszywy!..." Spodziewałam się, że przy tych słowach człowiek ten zostanie natychmiast za-

mordowany. Było tam czterystu oficerów. To-by wystarczyło.

— Kształtuje się nowy porządek świata! — zawołał Linder.

Obok mnie, krępa kobieta zaczęła znowu poruszać szyją, skarżąc się:

— Nic nie rozumiem.

Szczupły człowiek w wytartej kurtce wyciągał szyję, by lepiej słyszeć.

— Mówi, że nas nie zwyciężono. Że to my jesteśmy zwycięzcami. Lud, obdarzony władzą, triumfuje. Obaliliśmy ten porządek obłudy.

— Nie rozumiem — odpowiedziała kobieta, podrażniona.

Słychać było słowa Lindera:

— Gdyśmy bili Moskali, gdy chodziło tylko o obronę narodu, musieliśmy walczyć jeszcze. Dla celów imperjalistycznych, militarystycznych, egoistycznych...

— Aha — rzekła kobieta.

Nudziła się. Głos pośrodku placu wołał: „Ośmielam się powiedzieć, iż powinszować sobie możemy tak długiego trwania tej wojny. Musiała ona obalić tysiącletnie tradycje, niewolnictwo dziesięciu stuleci, tysiąc lat tyranji". Ten również mówi o ruinach, nagromadzonych przez tysiąc lat istnienia. Cóż się dzieje w tem mieście?... Było trochę oklasków, podrzucono w górę kilka kapeluszy. I plac stał się ponownie niemy. Minister wojny zaczął znowuż powiewać kapeluszem. Twarz jego zaczerwieniła się z wysiłku. I wyrzekł nagle: „Nie chcę już widzieć żołnierzy".

W owej chwili zdawało mi się, żem źle zro-

zumiała. Kto przemawia w ten sposób. Minister wojny rządu, nakazującego cofanie się na wszystkich frontach pod pretekstem, iż „ojczyzna węgierska potrzebuje swej armji dla obrony granic? Nie, to niemożliwe. W chwili zbliżania się Serbów, w chwili, gdy orędzie Wilsona oddaje nas na pastwę chciwości Czechów, Rumunów i Słowian Południowych. Niebezpieczny warjat lub groźny złoczyńca przemawiał ustami tego człowieka. Ale przecież on pijany! Czy nie widzą jego twarzy? Czy nie widzą, jak się wykrzywia i chwieje? Jeszcze nic się nie stało. Ludzie nie pojęli straszliwej treści słów jego. Można je zabić w powietrzu, jak zjadliwe osy. Mogą one jeszcze zniknąć niepostrzeżone.

Obok Lindera poruszała się jakaś długa, żółta głowa. Na stopniach kamiennych stał hrabia Karolyi. Poniżej ukazała się oliwkowa pełna twarz: to Oskar Jaszi, sufler Karolyi'ego. A więc oni są tu także. Słyszą wszystko. Karolyi kiwa twierdząco głową. Jaszi uśmiecha się. On już nie chce widzieć żołnierzy. Jakżeż więc teraz podtrzymać dyscyplinę w wojsku? W czyje ręce wpadnie broń, rzucona na ziemię? Ogłasza anarchję. Nie chce już widzieć żołnierzy... Rozległy się wiwaty.

— Przysięgajcie! — woła Linder.

Wewnątrz kordonu stali w prawidłowym szeregu oficerowie straży lokalnej. Żołnierze króla Węgier składali przysięgę Radzie Narodowej Michała Karolyi'ego. Jakiś zły czar panował nad placem. Niewidzialne, straszne, hypnotyzujące oko trzymało wszystko w swej

władzy. Drżałam w nieskończonem mem osamotnieniu, na tym placu, aż czarnym od ludzi.

Po złożeniu przysięgi, zadźwięczały trąby. Muzyka Honvedów podniosła kotły. Co to jest? Myśl moja przy dźwiękach tych drętwieje znowu. Ponad placem rozlega się wielki hymn narodowy państwa, z którym walczyliśmy twarzą w twarz podczas wojny, narodu, stojącego obecnie na czele zwycięzców naszych i gotowego rzucić się na nas. Pieśń ta, pełna zapału, którą grają oni w miastach swych, przystrojonych w chorągwie, nad brzegami Sekwany i Marny, obchodząc zwycięstwo, pieśń, głosząca *ich* sławę, a *nasze* upokorzenie. Ach, gdyby lud francuski zwyciężonym został w wojnie wszechświatowej, czy sądzicie, że w Paryżu, na placu Concorde, słyszanoby dzisiaj *Deutschland, Deutschland über alles?*...

Zaciskałam zęby, tłumiłam ból. Dźwięki Marsyljanki wirowały ponad mą głową. Nieczuła byłam jednak na ich piękno. Słyszałam tylko muzykę straszną. Z kotłów wypływała pieśń urągania. Uderzenia bębnów biły mię w skronie, cymbały dźwięczały naszą klęską.

Żołnierze rozproszyli się. Plac opustoszał powoli.

Nad Parlamentem znowu zapanowała cisza melancholji. Na wybrzeżu ponad bramą południową nie widać już było we mgle bronzowego jeźdźca. Czy odjechał? Czy stał tam? Nie widziałam...

IV. Arcyksiążę Józef.

Dowiedziałam się później, iż o tej samej godzinie, gdy na placu Parlamentu wykrzykiwał minister wojny, że „już nie chce widzieć żołnierzy", w Ratuszu spadało na nas inne wielkie nieszczęście. Arcyksiąże Józef, syn jego, Józef-Franciszek, składali przysięgę Radzie Narodowej. Ktoś, kto widział arcyksiążąt, opowiadał, iż ukazali się oni w uniformach wojennych ze wszystkiemi orderami na piersi. Jan Hoch otworzył drzwi sali, by każdy mógł słyszeć. Jak mógł arcyksiążę Józef, szef armji, ubóstwiany przez naród, dziedzic tradycji wielkich palatynów, zbliżyć się do tego hańbiącego stołu, przy którym przyjął przysięgę jego prezes Rady Narodowej, i ksiądz, sprzedający tanio swe dostojeństwo? Kto zmusił go do zajęcia miejsca wśród wrogów ojczyzny jego i dynastji? Wśród licznych i tajnych faz tej ponurej tragedji, scena ta, rozgrywająca się w oczach wszystkich, była tem niemniej niezrozumiałą i niepodobną do osądzenia. Że arcyksiąże składał przysięgę z duszą, dręczoną strasznem cierpieniem, tego pewni byli wszyscy, znający jego życie. Od dzieciństwa, od pierwszych kroków pod stuletnimi drzewami Alesuth, szedł zawsze z narodem madjarskim. Był z nami, był cząstką nas samych. Podczas wojny był on ojcem żołnierzy węgierskich. Pomiędzy wielu wzruszającemi opowiadaniami o nim, przypomina mi się, co mi opowiadał brat mój. Było to na froncie włoskim. Spytano pewnego rannego, bliskiego śmierci, czyby so-

bie czego nie życzył. Odrzekł tylko: „Chciałbym widzieć raz jeszcze arcyksięcia Józefa". Arcyksiążę odwiedził go: trzymał go za rękę podczas konania. Tak kochać można tylko człowieka szlachetnego i dzielnego. Nie bojaźń zaprowadziła do Ratusza tego, który wzbudzał taką miłość. Poświęcił się nie dla interesu osobistego, lecz dla ojczyzny.

Przed nim w zakurzonej sali stali Michał Karolyi, Jan Hock, Zygmunt Kunfi, za nim zaś była cała tysiącoletnia przeszłość jego rasy: hrabia Habsburg o twarzy dumnej, pod hełmem, z uniesioną przyłbicą, w pancerzu srebrnym, cesarz Rudolf, którego wielkim podczaszym był jeden z Hohenzollernów, inny cesarz, w aksamitnej czapeczce na siwych włosach, z łańcuchem złotego runa na aksamitnem ubraniu: Maksymiljan przyjaciel poetów, bohater Theverdanku, ostatni rycerz. Dalej mądra Małgorzata Austryjaczka, wielka księżna Niderlandów w ciężkiej, haftowanej sukni, Filip Piękny i zakochana Joanna, i melancholijnie uroczysty Karol V, w państwie którego nie zachodziło słońce. Dalej zwycięzca krwawych wód Lepanta, młody don Juan, potem uroczysty, a ponury szereg Filipów i Carlosów, potem Ferdynandów i Leopoldów w długiej peruce pod koroną świętego Stefana, mała, upudrowana główka Marji Teresy wśród wspaniałego uraganu wierności węgierskiej, obnażonych szabel, rąk wzniesionych, przysięgających oddać życie i krew: vitam et Sanguinem... Oto Józef, twarz wąska, niespokojna nad koronkowym żabotem w oknie Wiedeńskiego

Burgu, za nim zaś słychać cichutko, cichutko szpinet Mozarta w białozłotej sali. Oto wzruszający profil Marji Antoniny, bardziej królewskiej na gilotynie, niż na tronie; książęta Toskanii, Leopold, przyjaciel Węgrów i, w skromnej swej białej kurtce, jasnowłosy mały książę Reichstadtu, wielcy palatynowie w strojach zakonu św. Stefana, wreszcie stary monarcha konstytucyjny, ostatni wielki panujący w Europie, i błędna cesarzowa Elżbieta, która dobrze się czuła tylko na Węgrzech.

Ta olbrzymia przeszłość, to właściwie historja Europy: djademy cesarskie, korony królewskie, cesarstwa, kraje, prowincje, panowanie stuletnie nad niezliczonemi pokoleniami.

Zhańbić arcyksięcia Józefa i przeszłość, której był przedstawicielem, oto czego chcieli Karolyi i consortes. Trzeba było, by zrozpaczony naród nie patrzał już w przeszłość, by nie oczekiwał niczego od nikogo.

Dzień zapadał, gdym się dowiedziała, iż pogrzeb hrabiego Tiszy, na którym chcieliśmy wszyscy być obecni, odbył się w tajemnicy, w ciszy. Pewien zgrzyt wywołał tylko cyniczny gest Karolyi'ego. Karolyi przysłał dla Tiszy wieniec: „Największemu z mych przeciwników politycznych, jako znak pojednania ludzkiego, Michał Karolyi". Żałobna rodzina kazała wyrzucić wieniec na śmietnik. Cicho, ukradkiem przeniesiono trumnę Tiszy z krwawego domu na dworzec. Niewielu wiernych towarzyszyło mu, lecz dwie kobiety poszły za nim do końca, kobiety najwierniejsze z wiernych. Przewieziono Tiszę do Gesztu... Raz jeszcze przebył

pusztę, którą tak kochał Będzie tam nareszcie spoczywał Ten, któremu ukochana ta równina nie dała chwili spokoju za życia.

V. Rewolucjoniści działają.

2 listopada.

Dzisiaj nie mieliśmy dzienników. U przystanku tramwajowego sprzedawał roznosiciel publiczności egzemplarze, należące do prenumeratorów.

Nie będzie się już odtąd roznosiło pism do domów. Kto zechce je mieć, będzie musiał iść po nie.

Z dnia na dzień staje się mowa ulicy bardziej plugawą, z każdego słowa przebija coś podobnego do nienawiści. Na placu Parlamentu ciągnęły tłumy robotników i ludność Ghetta. Słychać było głosy podburzające. Przedsiębiorca Heltai, rządzący obecnie Budapesztem, i niejaki Bokanyi, agitator socjalistyczny, perorowali: „Precz z godnością królewską! precz z izbą Magnatów! potrzeba nowych wyborów! Wybory te nie będziemy robić z prefektami, lecz z komisarzami ludowymi!"

Komisarze ludowi!... Wspólnicy Trockiego i Lenina na Węgrzech. Bunt śmie więc przemawiać głośno, bunt, tytułujący się chętnie „rewolucją narodową". Wszystko się kształtuje na typ rosyjski. W koszarach garnizonowych wypędza wojsko swych oficerów, wybiera „mężów zaufania" i organizuje „radę żołnierską", w łonie której tworzy się nowa potęga. Na czele

stoi Józef Pogany, alias Schwarz, dziennikarz socjalistyczny. Jako wiceprezesi, występują Emeryk Czernyok, zdegradowany oficer i Teodor Sugar - Singer, galileista o wątpliwej przeszłości. „Rada żołnierska" mieć może jeden tylko program, mianowicie „ostateczne zniesienie armji" — głosił Pogany. Uzbrajając na żądanie partji socjal-demokratycznej, kilka organizacyj robotniczych, niszczy gwałtownie dawne wojsko Węgier. Lecz i minister wojny nie pozostaje bezczynnym; organizuje on straż sjonistyczną, rozdając broń członkom klubu Mahabejczyków. Co się tyczy Władysława Fenyesr'a, dziennikarza, który się stał komisarzem rządowym straży narodowej, przebiera on wzrastające wciąż bandy zbiegłych więźniów i włóczęgów za strzelców marynarki.

Myślałam z goryczą o tych sprawach, gdy jakieś auto minęło mię wpobliżu ulicy Uniwersyteckiej.

Był to piękny, duży powóz z przylepioną na szybie kartką papieru: „własność narodowa, dbajcie o nią". Wewnątrz powozu, od strony kartki spostrzegłam twarz Michała Karolyi'ego.

Obok niego — żona. Od czasu do czasu rozlegał się charakterystyczny wykrzyk owacyjny: Eljen. „Automobil królewski" — rzekł ktoś. Co, rozjeżdża się królewskim samochodem i otrzymuje poklask? Tymczasem czarny wagon towarowy, prześladowany może lecącemi ślad za nim kamieniami, unosi Stefana Tiszę. Widmo Tiszy stawało przede mną podczas, gdy Karolyi przyjmował owacje kilku rozczochranych włóczęgów. I ten żyjący człowiek

w automobilu zdawał się mi bardziej nieżywym, niż umarły.

Spojrzałam za nim. Auto znikło dawno, a mnie się zdawało, jakgdyby ten uśmiech na wymalowanych ustach kobiecych cieszył się jakąś perwersyjną radością z trosk i cierpienia ludzkiego.

A tam gdzieś leży krwawy trup Stefana Tiszy, krwią spływają granice państwa. Zwycięża nieprzyjaciel, zamiast być zwyciężonym. W wojsku rozkład. Od korony Świętego Stefana odpada Chorwacja i Słowacja. Tłum rabuje i niszczy. Żołnierze serbscy przechodzą granicę.

A wymalowane usta kobiece uśmiechają się...

Przypomniało mi się, co mówił przed kilku dniami, śmiejąc się, Michał Karolyi: „Im mniejszy będzie kraj, tem większym ja urosnę. Gdy byłem przywódcą opozycji, Węgry były całe, gdy zostałem prezesem ministrów, oderwała się Kroacja i Slawonja, gdy zostanę prezydentem republiki, pozostanie pięć komitatów, a gdy zostanę królem, kraj cały będzie się składał z jednego komitatu Pest-Pilis-Solt-Kiskun". (Tak się nazywa oficjalnie komitat Peszteński; przypisek tłum.).

Gdyby to były usłyszały te nieszczęśliwe oszukane miljony, którym głosił 31 października, że „Ja tylko mogę uratować Węgry". Uwierzyli mu!

Karolyi był nieprawym synem osób blisko z sobą spokrewnionych, źle rozwinięty fizycznie, skrofuliczny w dzieciństwie.

W czternastym roku życia poddany był operacji, dzięki której, wbrew Opatrzności Boskiej, a na zgubę narodu, nauczył się mówić. Włożono mu srebrne podniebienie. Chłopiec męczył się i cierpiał. Walczył ze słowami, a jeżeli otoczenie nie odrazu rozumiało zwierzęcych dźwięków, jakie wydawał, wpadał we wściekłość. Matka, która jedna zrozumieć go mogła, umarła wcześnie. Pierwsze swoje bezradosne, młodzieńcze lata spędził ten kaleka przy babce Elżbiecie, późniejszej hrabinie Zygfrydowej Pappenheim. Nauki szkolne szły mu ciężko, opłakane były rezultaty egzaminów. Zdawał maturę razem z moim bratem, naprawdę nie umiał nic, nie miał pojęcia nawet o poprawnem pisaniu. Ale świadectwo otrzymał: „Biedny, nieszczęśliwy chłopiec...“ Było to wszędzie jego paszportem... Tak szło życie tego kaleki, aż się zaczął mścić bez miłosierdzia za wszystkie jego okrucieństwa.

Z dojściem do pełnoletności, stał się właścicielem największych majątków na Węgrzech. Bez ograniczeń rozporządzał olbrzymiemi dochodami. Nie był zmuszony do wyliczania się, nie liczył się też nigdy. Wydawał bez miary. Grał w karty, urządzał orgje. Ludzie się z niego śmieli. Nikt go nie brał poważnie. Wystawne życie, namiętność do kart, później występy polityczne pochłonęły ogromne sumy. Ale majątek jeszcze wytrzymywał. Otoczyli go pochlebcy. Wierzył ich słowom. Manja wielkości przybierała formy coraz bardziej chorobliwe. Chciał odrazu odrobić to, zo zaniedbał w młodości. Zaczął czytać. Teraz, mając w głowie

chaos ekonomiczno - agrarno - socjalistyczny, chciał zostać przywódcą.

Na czele kierunku konserwatywnego, odpowiadającego mu usposobieniem i urodzeniem, stał hrabia Stefan Tisza, uosobienie rdzenno-węgierskiego konserwatyzmu, na czele innego odcienia — hrabia Juljusz Andrassy. W obozach tych mógłby odgrywać rolę podrzędną, nigdy przodowniczej. Przesunął się do skrajnej lewicy. Prowadziła go tam nie siła przekonania, lecz chorobliwa chęć władzy. Wytworzyła się dziwna sytuacja, że hrabia Michał Karolyi, nie posiadając uczucia narodowego i uważający się zawsze w duchu, po babce francusce, za Francuza, arystokrata z tradycji — stał się głową radykalnej demokracji i demagogji, głoszącej hasła narodowe. Obóz ten potrzebował nazwiska. On dał im je. Ale do wielkiego rozłamu między nim a Tiszą przyszło dopiero wtedy, gdy Stefan Tisza, jako przewodniczący parlamentu, widząc wieczną i bezowocną walkę opozycji, chciał obradom parlamentu węgierskiego zabezpieczyć pewien poziom na wypadek rozszerzenia prawa wyborczego i wniósł na porządek dzienny rewizję regulaminu parlamentu. Partje zatrąbiły pobudkę wojenną. Wchodziły tu również w grę osobiste gorycze. Andrassy i Karolyi skupili się w jednym obozie, a Tisza, uzyskawszy to, czego chciał, obraził śmiertelnie swoich przeciwników.

Przy uchwalaniu tego regulaminu straż parlamentarna musiała wyprowadzić z sali Michała Karolyi'ego, który we wściekłym gniewie, wobec licznych świadków przysiągł, że za to ze-

mści się śmiertelnie na Tiszy, chociażby miał zginąć kraj. Gniew jego wzrósł do rozmiarów patologicznych jeszcze po pojedynku, który miał w owym czasie z Tiszą.

I od tej pory sprzeciwiał się wszystkiemu temu, co chciał Tisza. Wówczas otaczali go już przeważnie sami wolnomularze i koło jego osoby począł się tworzyć ten mglisty obóz, który celowo rozdmuchiwał nieprzyjazny stosunek Węgra do Węgra, chrześcijanina do chrześcijanina, aby wkońcu na podstawie: inter dues litigantes tertius gandet, odnieść zwycięstwo nad skłóconymi Węgrami.

Bezpośrednio przed wojną Karolyi wraz z kilku swymi zwolennikami z partji pojechał do Ameryki, celem zebrania pieniędzy na wybory. Z tych pieniędzy nie wyliczył się nigdy.

Wybuch wojny znalazł go w Paryżu. Stosunki jego majątkowe były już wówczas zachwiane. Dobra jego, obciążone długami, nie dawały już więcej dochodu. Karolyi, pomimo to dalej wydawał pieniądze i grał w karty. Nikt nie wiedział, skąd bierze pieniądze. Nikt również nie wiedział, dlaczego Francja, która internowała różnych szaraczków, a jego właśnie wypuściła. Michał Karolyi rozpoczął podziemną robotę, która wydała rezultaty w noc 31-go października.

Ulicą szedł zapalacz lamp. Szkło dźwięczało w górze, zapalały się małe płomyki. Od strony mostu łańcuchowego błyszczały we mgle, wstającej z wody, krążki świateł. Przede mną szło dwóch żołnierzy. Tunel był prawie że bezludny. Rozmowa ich odbijała się o sklepienie.

Zdaje się, że jeden namawiał drugiego, aby przystał do marynarzy, tam można dobrze zarobić. Coś takiego mówili. Po przeciwnej stronie szedł jakiś pan. Żołnierze zaczęli coś mówić gwarą złodziejską. A potem przeszli przez środek tunelu, zasalutowali i, schyliwszy się jakgdyby pytali się o coś. Prawdopodobnie pytali, która godzina. Ten pan wyjął zegarek z kieszeni. Trwało to zaledwie minutę. Jeden z żołnierzy z szybkością błyskawicy schwycił go za ramię, drugi schylił się nad nim. Krzyk rozległ się w tunelu. Policjanta nie było widać nigdzie. Mężczyzna rozpaczliwie krzyczał. Dwaj żołnierze zaś, tupiąc ciężko butami, uciekali z zegarkiem w stronę placu Krystyny.

W nocy, w sąsiedztwie znów nocowali włóczący się żołnierze i strzelano koło naszej bramy. Psy już nie szczekają. Czy je zabito, czy i one już także uciekły?

Jeszcze raz przeszłam przez pokoje. Przed bramą stał już powóz, który miał nas zabrać na zimę z lasów w mury miasta. Słabe światło lamp powozowych przeświecało przez mgłę, poprzez gałęzie ogołoconych z liści krzewów. W powietrzu wisiała troska, tępa i bezimienna. Zdawało się, że stoimy na brzegu i musimy przejść wbród jakiś rów błotnisty. Dokąd nas zaprowadzi los, co się z nami stanie?

Przeszłam przez cały dom, otwierając jedne za drugiemi drzwi szaf i szuflady. Zostawiłam wszystko otwarte, niech nie wyłamują zamków, niech nie rozbijają siekierami blatów stołów ci, którzy może włamią się tu podczas zimy. Następnie zaczęłam zapuszczać w oknach

żaluzje. Półcień zapanował wśród białych ścian, boleśnie wprost patrzyły na mnie meble antyki, przyjaciele mych lat dziecinnych: stary sztych, stary dzban, kandelabry z papugami, wazy, barwne szklanki, w których od stu lat stały kwiaty w pokojach mojej babki i matki. Książki na półce, stara Biblja i wszystkie inne, które się nie zmieściły na wóz, wszystko, co pozostawało.

I rzeczy umieją płakać...

A jeżeli niezamieszkały dom zrabują? Jeżeli już więcej nie zobaczę tych sprzętów, tak dla mnie pamiątkowych i drogich?

Dlaczego nas tutaj zostawiacie?... Zdawały się pytać wszystkie sprzęty, i było mi tak, jakgdybym się żegnała z żyjącemi istotami, które pokornie i cierpliwie dzielą los z ludźmi.

Przekręcił się klucz w zamku, zaskrzypiał żwir na ścieżce ogrodowej i powóz wolno zaczął zjeżdżać z góry.

Za mostem Elżbiety, miasto tonęło w świetle. Paliły się wielkie lampy łukowe, tak, jak dawniej, gdy oznajmiały zwycięstwo na froncie. Na domach wisiały flagi. Na ulicy Vacz falował tłum spacerujących, wieczorne c o r s o. W oknach, wśród pończoch i wstążek, futer i salami widać było portret Karolyi'ego.

Powóz skręcił w boczną, cichą ulicę. Na ulicy Köfarago zatrzymał się. Przed bramą palił się jeden zmniejszony płomyk gazowy. Mały domek-pałacyk, jakgdyby zmarniał przez lato. Schody były smutne i brzydkie. Wewnątrz dymiły piece, nic nie było tak, jak zwykle, gdyś-

my wracali do ciepłego, przyjaznego ogniska rodzinnego.

Jedynie mała pokojówka, Niemeczka, biegała bezradnie między kuframi, nic nie robiąc. Matka krzątała się wszędzie, gdzie się tylko dotknęły jej ręce, wracało wszystko do ładu. Mały, zielony pokój stał się odrazu przytulny, a na stole, pokrytym białym, koronkowym obrusem, dymiła herbata w filiżankach. Znów dom stał się naszym domem...

Gazety leżały na stole. Wpadło mi w oczy oświadczenie Karolyi'ego, które złożył w obecności przedstawicieli prasy budapeszteńskiej. „Węgry od 1 listopada są już państwem neutralnem — oświadczył Karolyi. — Nad tem rząd pracuje..." o tem, co powiedzą na tę neutralność państwa ententy — milczy. Dalej mówi o Linderze:

„Nasz minister spraw wojskowych bardzo się przyłożył do pokoju. Historja nie omieszka zapewne uznać znaczenia Lindera, który oddał sprawie węgierskiej nieocenioną przysługę".

VI. Rozbicie armji.

5 listopada.

Nie jest to już ranek, w którym lasy zaglądały mi swobodnie w okno pokoju, widzę ulicę wąską i szarą. Myśl, uderzając się o mur przeciwległy odwraca się i skierowuje mię znowu ku książkom, obrazom moim.

Odnajduję ich piękność i cieszę się z ich ponownego ujrzenia.

Za biurkiem ściany pokryte staremi księgami o złoconych okładkach. Oto na ponsowej tapecie, w pięknych ramach, ozdobionych tjarą papieską obraz Sebastiano Ricci, madonna wenecka, skąpana w delikatnym półświetle, dalej portret Castruccio Castrani i Starzec holenderski w otwartej kurtce podbitej sobolem. Pod empirowem zwierciadłem zegar. Na małem biureczku o licznych szufladkach stoi kopja najpiękniejszego posągu z czasów Pierwszego Odrodzenia: święty Wawrzyniec, zakonnik-dziecko spogląda z pustą ciekawością na pokój. Lśniące złoto ram, wyblakła zieloność starych jedwabi, światła grające na nich w tej ciszy, ponsowe portjery zawieszone na ścianach, jakaś czerwień promienna spływa na przedmioty, jakby pomiędzy drzwiami i oknami zachodziło niewidzialne słońce.

W sąsiednim saloniku nad kanapą akwarele. Mój pradziadek, w upudrowanej peruce, romantyczny kirasjer z Hardegg w iskrzącej się zbroi, piękna głowa mego dziada i białe kobiety o bogatych wijących się włosach. Na fortepianie pomiędzy staremi wiedeńskiemi wazami o złoconych zaokrągleniach, portret dziecinny mej matki, lekki jak wietrzyk.

Błyszczące wahadło alabastrowego zegara na kominku opowiada nieustannie, pocichu jakąś bardzo starą historję. Z poczuciem piękności tych przedmiotów łączy się we mnie rodzaj obawy. Czy je zachowamy? Czy pozostaną naszemi?

Pewnego wieczoru dyżurowałam na dworcu Wschodnim, jako członek Czerwonego Krzyża. Zegar kaplicy w szpitalu św. Rocha wskazywał pół do ósmej. Tramwaje elektryczne przechodziły obciążone wiszącymi ludźmi. Nie znalazłam miejsca. Musiałam iść pieszo. Gdym wyszła poza środek miasta przypomniał mi się nagle 31 październik. Ludzie o podejrzanym wyglądzie, nieznani włóczędzy, pijani marynarze, żydzi galicyjscy w chałatach... Skąd ci manifestanci? Zdemobilizowani żołnierze w łachmanach sprzedawali w okolicach dworca papierosy i lepkie cukierki. Niektórzy żebrali pod ścianami, na schodach. Na rozłożonym płótnie widniały pornograficzne książki. Zatłuszczone, brudne indywidua sprzedawały ołówki, torebki, tytoń. Ulicznik w chałacie proponował cukierki czekoladowe umieszczone na filiżance. Coś w tym obrazie przypominało Bałkany. Ruchomy targ falował po zabłoconym chodniku. Ludzie wchodzili i wychodzili swobodnie przez drzwi dworca.

Odtąd karty tożsamości są niepotrzebne. Zresztą, jak powstrzymać tych ludzi. Nawet urzędnicy sami trzymają się zdala. Żołnierze rosyjscy w barankowych czapach, jeńcy wojenni rumuńscy i serbscy, jak pchnięte naprzód stado, torują sobie drogę pomiędzy tłumem.

W dawnej poczekalni królewskiej, powietrze zepsute, światło skąpe, żołnierze ranni siedzący na ławach Czerwonego Krzyża, pili herbatę z chlebem. Od czasu rewolucji Karolyi'ego byłam po raz pierwszy dyżurną. W czasie tej długotrwałej wojny przeszło tyle bólów przez

tę salę Czerwonego Krzyża, tyle stukania szczudłami, cień tylu nosz, że obecnie, w chwili strasznego pogromu naszego, zdaje mi się, iż z przeszłości wznoszą się bolesne wyrzuty: „Na co się zdały te cierpienia, te niezliczone śmierci, jeśli się doszło *do tego?*"

Dokoła gazowego piecyka, gdzie tlił się mały tylko płomyk, siedzieli infirmeryjni sierżanci. Do zimnych kątów ze strony przeciwległej usunęło się kilku rannych oficerów. Nie mieli na kołnierzach oznak stopni. Bladzi byli i wychudzeni. Jeden z nich wsparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w obu dłoniach. Inny spuścił głowę na piersi. Nie widziałam nigdy smutniejszych ludzi. Siedzieli tak nieruchomi. Widok ten sprawiał mi ból.

Pociąg sanitarny przywiózł Niemców. W ciszy przesuwały się nosze. Wytworzyły się ponure szeregi ludzi leżących na ziemi, skulonych, — blade widma pod płaszczami splamionemi krwią. Opróżniono nagle szpital polowy regionu Południowego... Serbowie idą!... Nieznośny zapach ropy napełnił salę. Pomiędzy noszami sierżant izraelita w złotych binoklach, ubrany w nowiutki mundur z czerwoną opaską na rękawie, skakał jak sroka. Nigdym go nie widziała przedtem na posterunkach pomocy.

— Przysłany jestem przez Radę Żołnierską — rzekł.

Człowiek ten, którego cała osoba świadczyła, iż nie był nigdy żołnierzem, stał z rozstawionemi nogami pomiędzy rannymi i mówił do nich przez zęby.

Powiedziałam naczelnemu lekarzowi, iż trze-

baby odnowić opatrunki. — Nie robiono tego od dwóch tygodni. — Niema już opatrunków — odparł lekarz przygnębiony i wrócił do sali porad. Nie widziałam go już przez cały wieczór. Czasem wśród ciężkiego powietrza wybuchało westchnienie czy jęk. To było wszystko. Nikt nie mówił, ludzie dziękowali nam chorobliwie wyczerpanym wzrokiem za liche rodzenkowe wino i przypominający wióry drzewne kawałek chleba, któryśmy im dawały.

— Nasi walczą jeszcze z Serbami na południu — szepnął cichutko młody jasnowłosy Bawarczyk, gdym się nad nim schyliła.

Człowiek o opasce czerwonej i infirmerki poszli palić na peronie. Wówczas dopiero usłyszano ciche rozmowy z jednych nosz do drugich.

— Co się u nas dzieje? — pytali Niemcy. Nie mamy dzienników, nie wiemy nic. Mówią, że u nas też rewolucja i że zamierzają wypędzić cesarza...

Na jednej z ławek oficerowie węgierskich honwedów rozmawiali z sobą o froncie włoskim:

— Nasi złożyli broń i wówczas dopiero rozpoczęli Włosi skuteczną strzelaninę. Dużemi armatami porozrywali tysiące ludzi, grupami otaczali całe korpusy armji. Głoszą, iż wzięli 300.000 żołnierzy i blisko 1.000 armat. Wszystko stracone.

Pisma podały również wiadomość, że Włosi strzelali jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny, gdy z naszej strony nie padł już ani jeden strzał.

— Przy rozejmie tym padło więcej ludzi, niż w najkrwawszych potyczkach — mruczał

przez zęby jakby do siebie jeden z oficerów. Era pacyfizmu jest u początku swego krwawszą jeszcze od wojny. Gdybyśmy utrzymali front jeszcze przez dwa tygodnie, przyszedłby pogrom na Włochów, jak przyszedł na nas. A więc to dlatego trzeba się było tak bardzo śpieszyć? Na to trzeba było kapitulować bez warunków? Rezerwiści sprawili wszystko zło. Byli oni w kontakcie z Budapesztem. Otrzymali radjogram od Rady Narodowej...

Słysząc te słowa, przypomniałam sobie, co doniósł Michał Karolyi szefowi armji w imieniu rządu: „Biorę całą odpowiedzialność na siebie", dodając, że „sam demokratyczny rząd węgierski będzie prosił w imię Państwa Węgierskiego o pokój odrębny. Zamierzał najpierw udać się do Padwy, lecz przeszkodził mu szef armji. Mówią od wczoraj, iż nie mogąc wejść w układy z głównym komendantem armij włoskich — pertraktujących z Monarchją w imieniu Ententy, — zwrócił się do Francheta d'Esperey, komendanta frontu bałkańskiego. Generał francuski wymaga, by przed rozpoczęciem układów, wszystkie wojska stojące na granicy węgiersko-serbskiej usunęły się o 15 kilometrów wewnątrz kraju i by w terminie dwóch tygodni wojska niemieckie były rozbrojone. Wymaga ustąpienia terytorjum węgierskiego i wypędzenia od nas ostatnich przyjaciół, tych co jeszcze strzegą granicy nie bronionej już przez naszych...

Powiadają też, iż Karolyi jedzie ze świtą swą do Belgradu. Może już nawet jest w drodze... Jest to coś niesłychanego. Nie śniło mi

się, — jestem pewna, żem czytała w raporcie szefa sztabu generalnego, że wojska nasze zaprzestały strzałów na froncie włoskim po podpisaniu zawieszenia broni. Cóż więc to za układy przygotowywane są w Belgradzie?

Wielki hałas na dworze za drzwiami. Rzuca się tłum żołnierzy. Proszą o herbatę. Ordynarny krzyk napełnia salę. Słychać niezadowolone głosy. Są to żołnierze przybywający z frontu przeważnie przez Austrję. Wracają okradzeni i ograbieni. W Wiedniu żołnierze czerwoni ograbili Węgrów na dworcu. Zabrali im torby, płaszcze, obuwie, żywność, nawet noże. Nasi wracają do domów wygłodzeni, wściekli, wymagający, by im dano wszystkiego.

Znowu dojrzałam sierżanta z czerwoną opaską. Kręci się pomiędzy żołnierzami i rozmawia z nimi szeptem.

Spytałam jednego z szeregowców o wyglądzie wieśniaczym, czy wojska nie zatrzymują się na granicach dla obrony kraju:

— Ma się rozumieć, że nie. Niema już tam nikogo. Wracamy wszyscy. Porzuciliśmy armaty skorośmy się tylko dowiedzieli, że nie trzeba już być żołnierzem.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza zmięty numer dziennika *Ar Est* i potrząsnął nim. „W dzienniku tym napisane, że minister Wojny powiada: „Teraz mamy pokój".

Około jedenastej kończyłam służbę. Gdym podchodziła do drzwi, dwóch mężczyzn, oficerów, stało pod ścianą. Jeden z nich mówił nerwowo i po kilkakrotnie ściskał głowę rękami. Wydał mi się szaleńcem.

— Odprowadziłem pułk w doskonałym porządku. Zjawiłem się w Ministerstwie Wojny, ofiarowałem usługi swe krajowi. Odpowiedziano mi: — Pan jest zdemobilizowany, może pan odejść.

Nie usłyszałam nic więcej, lecz tego mi było dosyć. Nie możemy więc nawet rachować na wracających żołnierzy.

VII. Grabienie zamków.

Dzień schodził za dniem. Dowiadujemy się wciąż o nowych nieszczęściach. Wszędzie po kraju rabują. W zamkach, na fermach, po wioskach. Wałęsający się jeńcy rosyjscy, zagubieni żołnierze, zbiegli katorżnicy, ułaskawieni zabójcy, razem z rozwścieczonymi buntownikami, niszczą wszystko. Straszne wieści dochodzą z Keeskemetu, z Telegyhary, z Kaposoaru i Nagykö vos.

Wiedziano oddawna, iż po powrocie z pola bitew zażądają żołnierze rachunku od tych, którzy wygłodzili, wyzyskali ich rodziny i zbogacili się tu na tyłach, gdy oni tam cierpieli. Podczas ostatnich lat wojny mówili rozgniewani żołnierze o pogromach. Lud się przygotowywał do zemsty, a pięść jego powoli, straszliwie wznosiła się nad winowajcami. Lecz nagle moc djabelska pięść tę odwróciła. Nagromadzona nienawiść tłumu grożąca imigrantom z Galicji, handlarzom, lichwiarzom, karczmarzom wiejskim, rzuciła się z wściekłością na zamki i władze madjarskie.

Lud wiejski, popchnięty przez oficjalnych agitatorów, napada na domy panów węgierskich.

— Mamy obecnie republikę, wszystko należy do nas.

I majętni drobni rolnicy jadą z wozami na podwórza pańskie, by zabierać i wynosić cudze mienie. Władze są bezsilne. Wściekłość obłąkanego ludu wypędziła sędziów regjonalnych i rejentów rządowych. Znalazł się pretekst. Za wojennego zarządu ekonomicznego, zabierali rejenci rządowi zboże i woły producentów, oni również wysyłali robotników do fabryk wojennych; oni rozdzielali cukier, naftę i skąpą zapomogę. Podejrzewano, że zachowują część tego wszystkiego dla siebie, na nich więc spadała cała nienawiść. Nienawiść posłużyła jako kanał odpływu dla ludzi, co się obawiali pogromów. Zużytkowali ją zręcznie. Laskami okutemi żelazem wypędzili włościanie około trzech tysięcy rejentów i zamordowali znaczną ich liczbę.

Gminy zostały więc pozostawione sobie bez władzy. Jako rezultat buntu: nieposłuszeństwo chłopów względem proboszczów. Co do nauczycieli, to znaczna ich część ogarnięta była zarazą rewolucyjną. Porządek obalony. Pod pozorem apostołów ludu zawładnęli wsią agitatorzy Rady Narodowej: dziennikarze, chłopcy kawiarniani, froterzy, aktorzy kin, handlarze żywym towarem. W dzień rewolucji Peszteńskiej utworzyły się wszędzie, na wzór stolicy miejscowe rady narodowe. Kierownictwem tych rad narodowych zawładnęli, jakby za wspólną ugodą i umówionem hasłem, izraelscy przywódcy

organizacyj robotniczych, urzędnicy ich kas oszczędnościowych. Znali słowa oddziaływające na tłumy, byli w kontakcie z buntownikami Budapesztu, wśród wytworzonego przez siebie chaosu zasiedli niespodziewanie obok władz gminnych, komunikując się z Radą Narodową Pesztu, rządzili władzami i gminami.

Odrętwienie ogarniające stolicę rozciągnęło się na miasta i wsie prowincjonalne. W poniżającym tym letargu byli wszyscy posłuszni. Rewolucja Karolyi'ego to niemal wyłącznie dzieło Żydów. Nienasyceni zbierają owoce podejrzanej swej pracy. Zajmują wszelkie wolne miejsca. W rządzie, jakem już mówiła, było trzech ministrów Żydów, — faktycznie zaś jest ich pięciu.

Przeważna część członków Rady Narodowej to izraelici. Żydami są: prezydent miasta, komisarze Rządu i Rady Żołnierskiej, zarząd Rady Robotniczej. Żydami są bez wyjątku doradcy Karolyi'ego. Żydami w znacznej części ci, których zabrał wczoraj do Belgradu dla spotkania się z komendantem frontu bałkańskiego, generałem Franche d'Esperay.

W dzisiejszym dzienniku półurzędowym jest wiadomość, coprawda ukryta, umożliwiająca wszelkie rozprawy nad zawieszeniem broni. Przytaczam ją dosłownie: „Na podstawie umowy o zawieszeniu broni, zawartej przez pełnomocników Kwatery Głównej wojsk austro-węgierskich w imieniu państw sprzymierzonych i zjednoczonych oraz pełnomocników Kwatery Głównej królewskich wojsk włoskich, przerywa się z dniem 4 listopada, o godzinie 3 popołudniu na wszystkich frontach austrjackich i wę-

gierskich działania wojenne na lądzie, morzu i w powietrzu".

Nie wiem po ile razy zapytałam siebie, o czem chce radzić Karolyi i jego otoczenie w Belgradzie.

Michał Karolyi i ministrowie, Jaszi i baron Hatvany: wysłannicy Rady Narodowej; pełnomocnicy rady robotniczej, radykalni dziennikarze i przedstawiciele rady żołnierskiej: major Czernyak, zdegradowany oficer... jak śmią ci ludzie przemawiać w imieniu Węgier.

Ogarnął mię niewymowny niepokój. Ściany pokoju ścisnęły się i zbliżały ku mnie meble. Czułam, jakby zacieśniającą się obręcz. Zaciasne stało się miejsce, dom, miasto. Co się poza niem dzieje? Czy wyzwolenie jest w drodze? Trzeba się śpieszyć, przecież bagniska rosną, podnoszą się, już nas dosięgają, jutro udusimy się. Nie mogłam wytrzymać w domu. Musiałam coś robić, jeżeli nic innego: to iść, biec, zmęczyć się.

Czułam się nieszczęśliwą i smutną. Przy sztachetach ogrodu muzealnego stał marynarz. Na ramieniu miał broń, u pasa wisiał rewolwer. Naprzeciwko, przed bramą dawnego parlamentu węgierskiego, wnosili żołnierze z ciężarowego auta ciężkie paki do gmachu.

Przypomniało mi się, że gmach ten, gdzie się niegdyś duch Franciszka Deaka wypowiadał przed dawnym sejmem węgierskim, jest teraz siedzibą rewolucyjnej rady żołnierskiej. Jej organizator Józef Pogany, mianowany przez Karolyi'ego rządowym komisarzem rady, jest ober

nie potęgą, która przeciwstawia się wojskowemu rządowi.

Co jest w tych pakach? — spytała się żołnierza jakaś obdarta dziewczyna.

— Broń — odpowiedział żołnierz śmiejąc się, — ale co lepsze przywieźliśmy w nocy — dodał.

Spostrzegłszy mnie, groźnie zastąpił mi drogę.

— Nie wolno tędy chodzić! Zejść z chodnika!

Wtedy dopiero zauważyłam, że na aucie stoją karabiny maszynowe, a na pakach powtarzają się dwa słowa: „Ostrożnie. Naboje".

Linder porzuca broń na wszystkich frontach. Pogany zaś gromadzi broń i amunicję w samym środku Budapesztu...

Czy to przypadek, czy jest między tem jakiś związek?

Długo błądziłam w męce. Gnała mię rozpacz. Wreszcie doszłam nad brzeg Dunaju. Rozejrzałam się dokoła. Źle oświetlona ulica i czarne domy — kto wie, czy nie ukrywają złodziei i zbrodniarzy. Krew jest w mieście. Mordercy Stefana Tiszy swobodnie chodzą między nami.

Jakiś obcy człowiek wyminął mię. Raptem przyszło mi do głowy, czy to nie ten. Lub może tamten, siedzący w aucie, palący cygaro. Wszystko możliwe.

VIII. Zamordowanie hrabiego Tiszy.

Wracałam zmęczona do domu. Otwierając drzwi pokoju, uczułam łagodne ciepło. Matka kazała zapalić na kominku. Światło drżało i odbijało się na posadzce. Drobne płomyki biegały po półkach z książkami i staroświeckich złoceniach.

Potem przyszedł gość: hrabina Armanda Mikes. Zdawała się zmęczoną bardzo, twarz miała mizerną, jakby chorą, oczy pełne łez. Wiedziałam, co się działo w jej duszy. Konała w niej Transylwanja.

— Czyś słyszała już ostatnią wiadomość?— spytałam wahająco. — Stany Zjednoczone uznały „prawa" Rumunji do Transylwanji. „Prawa"?... A zdrajcy rządzący nami zdolni są oddać im tę prowincję!

Uczułam drgnienie głębokiej boleści. Dumni Sikule są pierwotnymi mieszkańcami Transylwanji, a Stany Zjednoczone mówią im o „prawach" pasterzy wołoskich, którzy imigrowali tu stopniowo. Nowy Świat nie istniał jeszcze dla ludzkości, pogrążonym był w mrocznej ciszy, gdy prawa Madjarów do ziemi transylwańskiej istniały już od pięciu wieków.

— Nie zabranoby nam piędzi ziemi, gdyby wojsko nasze było na granicy.

— Gdyby żył Stefan Tisza...

— Gdyby żył, zamordowanoby go ponownie...

Zamilkłyśmy. Przez chwilę panowała w po-

koju taka cisza, iż słyszeć było można lekki szmer ostygającego żaru.

— Sprzysięgli się przeciw niemu wszyscy, ilu ich jest, rzekła hrabina Mikes, bliska krewna Stefana Tiszy, jego wierna i bezinteresowna przyjaciółka w triumfach zarówno jak i klęskach. „Gdym przychodziła, ujrzałam krew jego na płytach sieni. Jest tam także ślad kuli... Kałuża krwi. Umarł z upływu krwi, dlatego twarz jego była tak strasznie bladą".

— A żona jego?

— Siedziała przy nim nieruchoma i trzymała go za rękę. Biedny Stefan. Zaledwie ostygł, zjawił się jakiś oficer. Oficer ten pokazał dokument, dowodzący, iż był adjutantem Lindera i rzekł: „Obowiązany jestem upewnić się, czy Tisza umarł naprawdę". Nie odszedł, aż nie skonstatował tego naocznie. Towarzyszył mu prosty żołnierz, wysłany przez Radę żołnierską. Oficer zajrzał przez drzwi do pokoju żałobnego. Gdy zobaczył, że Tisza faktycznie nie żyje, miał cyniczne zuchwalstwo wyrazić rodzinie kondolencję całego rządu. Baron Radvanszky, siostrzeniec Tiszy, odpowiedział: „To się nam na nic nie przyda". Potem przyszedł lekarz policyjny, — dla uratowania pozorów, zdaje się bowiem, że mordercy nie są wcale poszukiwani. Przed wyniesieniem ciała przyniesiono również depeszę Karolyi'ego i wieniec. Rodzina wyrzuciła go...

— Ale, ostatecznie, dlaczego Tisza nie wyjechał?

— Powiedział, iż nie chce się ukrywać...

I przyjaciółka moja opowiedziała mi szcze-

gółowo wszystko, co jej był opowiedział o morderstwie Bela Radvanszky.

W fatalny ów dzień od świtu wałęsali się jacyś ludzie w okolicach willi. Bliska krewna hrabiego Tiszy, hrabina Dyoniza Amassy odwiedziła go wczesnym rankiem, prosząc, by się ukrył u przyjaciół, albowiem życie jego było w niebezpieczeństwie.

Tisza odpowiedział, że nie pójdzie nigdzie bez zaproszenia. Tymczasem na drodze Herminy potworzyły się coraz znaczniejsze grupy ludzi. Buntownicy rzucali słowa groźne. Tłum się zwiększał. Wysadzono furtkę ogrodu. Z wielkim hałasem wdarli się doń żołnierze. Dowodził nimi Żyd o wyglądzie nietrzeźwym, ubrany w płaszcz nieprzemakalny. Po przybyciu do willi zażądał widzenia się z Tiszą sam na sam.

Żołnierze pozostali w sieni. Tisza przyjął obcego. Spostrzegł, iż człowiek ten miał rewolwer, dał mu więc ruchem do zrozumienia, że posiada również broń w kieszeni. Człowiek zmieszał się i tylko zapytał Tiszę, czy ukrywa u siebie pewnego sędziego rady wojennej, nieprzyjaciela jego, którego chciał zamordować. W tym też celu nosił własny rewolwer. Tisza odparł, iż nie ukrywa nikogo. Człowiek oddalił się wraz z żołnierzami.

Od trzeciej popołudniu, gdy Tisza żył jeszcze, ogłaszano w Nagyvarad, w Kaposvar i innych miastach prowincjonalnych, że został zamordowany. Mówiono o tem na przedmieściach Pesatu. Pewien dziennikarz opowiedział Juljuszowi Peker, iż Paweł Keri, mąż zaufania Karolyi'ego, będąc około czwartej w klubie

dziennikarskim „Otton" nastawił zegarek i wyrzekł wobec kilku świadków: „Już Tiszy pozostało tylko półtory godziny życia".

Żandarmi przysłani parę dni przedtem za rządów Wekerle'ego do willi dla obrony życia Tiszy, wycofani zostali 31 października. Zastąpiono ich nowymi ludźmi, wcale niepewnymi. Sierżant ich prosił, by Tisza żądał wzmocnienia swej straży. Tisza odparł, iż nie on ich wzywał, że sprawa ta do niego nie należy. Po południu sierżant zawiadomił, iż odchodzi ze swymi ludźmi. Telefonować z willi było niepodobieństwem, centrala telefoniczna odpowiadała, lecz nie łączyła. Żandarmów już nie ujrzano. Pozostali na miejscu, lecz ukrywali się. W międzyczasie przybył szwagier Tiszy, Jan Sander, z jego siostrzeńcem baronem Radvanszky, mówiąc, że miasto jest zrewolucjonizowane, a władza w rękach Karolyi'ego. Tisza chciał się udać do klubu partyjnego dla udzielenia instrukcyj swym stronnikom. Lecz żona ubłagała go, aby pozostał. Poruczył wówczas Janowi Sandorowi pójść do Klubu na swoje miejsce wraz z siostrzeńcem.

Noc była ciemna. Pospólstwo stawało się coraz groźniejsze. Wtem wysadzono drzwi ogrodowe. Wdali słychać było strzały, willa nie mogła się już spodziewać żadnej pomocy. Stała się domem śmierci, straszną jaskinią otoczoną ze wszystkich stron.

Gdzie byli wówczas przyjaciele i stronnicy Tiszy? W godzinę Kalwarji dwie kobiety tylko dzieliły jego męczeństwo. Dwie kobiety, imiona których zachowa historja.

Było około piątej. Strzelanina stawała się coraz silniejszą. Zadźwięczał dzwon. Nadbiegł służący: „Ośmiu uzbrojonych żołnierzy znajduje się w willi". W tym samym czasie dwóch żołnierzy rozbrajało żandarmów w imieniu Rady narodowej. Żandarmi nie stawili żadnego oporu...

Zalany łzami lokaj błagał pana, aby uciekał przez okno. Tisza położył dłoń na ramieniu chłopca. „Dzięki ci, żeś był wiernym sługą. Niech cię Bóg błogosławi". Potem pozostali pewną chwilę sami we troje, on i obie kobiety. „Nie będę uciekał. Jakim żyłem, takim umrę". Wziął rewolwer i wyszedł do sieni. Żona jego i Dyoniza Almassy poszły za nim. Znajdowali się tam zbrojni żołnierze. Palili papierosy.

— Czego chcecie? — spytał Tisza.

— Szukamy hrabiego Stefana Tiszy.

— Jam jest.

Żołnierze kazali mu odłożyć rewolwer. Parę razy dnia tego mówił Tisza, iż broniłby się, gdyby widział dla siebie szanse ratunku. Lecz teraz, na żądanie żołnierzy, odłożył rewolwer, wykazując ruchem tym, iż sytuacja wydaje mu się rozpaczliwą. Nie miał ani chwili słabości, pozostał silnym i dzielnym jak zawsze, nie sprzeniewierzył się sobie. Nie prosił łaski i spojrzał śmierci w oczy. Jeden z żołnierzy zaczął mówić. Powiedział, że Tisza był przyczyną wojny i musi ponosić konsekwencje. Prosty ten żołnierz miał wypolerowane, błyszczące paznokcie... Inny rzekł, iż znajdował się od dziesięciu lat pod bronią z winy Tiszy. Tisza odparł:

— Nie pragnąłem wojny...

W tej samej chwili zaczął bić zegar w głębi ciemnego pokoju.

Jeden z żołnierzy zawołał:

— Ostatnia twoja godzina wybiła.

Z papierosami w ustach mordercy strzelili wszyscy razem. Jedna z kul trafiła Tiszę w piersi. Padł naprzód...

Hrabina Dyoniza Almassy została zranioną, zemdlała. Tisza już leżał na ziemi, gdy ludzie ci jeszcze strzelali do niego. Wreszcie porzucono go.

W niepewnem świetle sieni, wśród dymu strzelb, leżał na ziemi Stefan Tisza, a dłoń potężna, rządząca niegdyś cesarstwem, uczyniła w ostatniej chwili pożegnania znak tym, których kochał.

— Uspokójcie się... Tak być musiało... I umarł tak jak żył...

IX. Nędza Tułaczy.

7 listopada.

Byłam wczesnym rankiem dyżurną na dworcu Wschodnim; obładowane pociągi przybywały z hałasem do oszklonej hali. Wagony podobne były do rumowisk. Na ścianach miały ślady kul, albowiem w czystem polu bandy złodziei strzelały do pociągów. Okna były powyłamywane, stopnie chwiejące się. Na dachach, na stopniach, nawet na buforach uczepieni ludzie smagani przez wiatr. Wagony za-

ledwie opróżnione, zdobywane były szturmem przez jeńców rosyjskich, rumuńskich i serbskich... Pchali się, klęli, hałasowali, dostawali się do wnętrza wagonów przez okna, gdy przejść nie mogli przez drzwi. Jeden z urzędników dworca mówił, iż podczas wojny ilość pasażerów wynosiła dziennie 30.000 osób. Obecnie wyjeżdża i przyjeżdża dziennie ze 300.000 podróżnych. Pociągi, mogące pomieścić 1.500 osób, przewożą obecnie 9.000. Podróżowanie jest narażaniem życia. Urzędnicy nie mają chwili wytchnienia i upadają z wyczerpania. Osie znieść nie mogą przeładowania. Wciąż tylko słychać o strasznych katastrofach. Przy wjeździe do tunelu, setki żołnierzy wracających z frontu włoskiego, zrzuconych zostało z dachu wagonów. Trupy znaczą drogę do Ojczyzny.

Zdyszany przybywa nowy pociąg. Przywozi z nad nieobronnych granic tułaczy i żołnierzy. Tułacze szerzą straszne wieści. Bandy czeskie, miejscami wojska regularne, zajęły Górne Węgry. Wygląda to na krzyk alarmu. W Trenczynie Czesi zajęli dostęp do granicy. Są u Presburga (Poszony), wypędzają urzędników węgierskich, biorą zakładników...

Rząd zabrania stawiać jakibądź opór wojskom obcym. Władze mają się zadowolnić protestem dla zasady, co do mieszkańców, mają siedzieć spokojnie w domach. Z Budapesztu ślą oddziały marynarzy — zbiegłych więźniów i morderców — ci zaś rozbrajają patrjotyczne organizacje obrony. Wśród ludu kręcą się agitatorzy. Żydzi z Pesztu sieją bunt i pobudzają do rabunku. Biedny lud, odurzony, skupia się

i wkrótce idzie za nimi. Powiadają mu, że „pokój już zawarty, że wszystko należy do niego". Tłum już się nie troszczy ani o ojczyznę, ani o wrogów, gniew jego zwrócił się przeciw władzom i lepszej części narodu. Buntownicy grabią, a w zamieszaniu zawsze się znajdzie ktoś, kto sprowadza wroga pod pretekstem zaprowadzenia porządku.

Gdzie się ukaże uzbrojony patrol cudzoziemski, ośmiu, dziesięciu ludzi, zatyka chorągiew, zrzuca godła węgierskie, nasi zaś przyglądają się temu, jak lunatycy...

Oto co mówią wszyscy żołnierze, przychodzący z różnych stron. W ręce wroga wpadają miasta węgierskie jedne za drugiemi.

Dokoła mnie skupiają się tułacze. „Ograbili nasz dom, spalili naszą chatę..." Dwóch ludzi zniosło z bydlęcego wagonu półnagiego starca. Piękna jego biała i szlachetna głowa chwiała się od ruchu tragarzy z prawa na lewo, twarz zaś była woskowa. Skąd ci ludzie? Nikt się tem nie interesuje... Przybywają zewsząd. W hotelach, w nieopalonych domach noclegowych, w zimnych salach szkolnych, gromadzą się ludzie, na dworcach zaś powstają na peronach stosy bagaży. Resztki ich mienia tworzą olbrzymie sterty porozrzucane w nieładzie. Tobołki powiązane w obrusy, kosze do bielizny, wózki dziecinne, walizki angielskie, kojce dla drobiu, walizy, torby. Ogarnia nas odrętwienie, serce się ściska, a smutne owe zwaliska piętrzą się z godziny na godzinę w strasznym nieładzie...

U drzwi wchodzący żołnierze popychają lu-

dzi kolbami. Na przodzie Moskale. Ciężki zapach zwierzęcy wlecze się za nimi. Jakieś istoty zrozpaczone tłoczą się dokoła zrzuconych na stos skrzynek. Chłopak, zaledwie odrosły od ziemi, wlecze dużą skórzaną walizę. Przed zgniecionym tłumokiem klęczy w błocie starsza pani. Ma na sobie płaszcz aksamitny z sobolowym kołnierzem, na głowie zaś chustkę włościanki. Skradzono jej w czasie drogi wszystko, co posiadała. Nikt na to nie zwraca uwagi. Jakieś dzieci popłakiwały, nie mogąc powiedzieć skąd przybyły... Szukały matki, którą zgubiły w ucieczce. W jednym z wagonów uduszono małą dziewczynkę. Żołnierze wynieśli trupa jej na noszach. Wówczas przez plant przebiegła jakaś kobieta. Skakała dziwacznie, a rozrzucone włosy zwieszały się jej na nieprzytomne oczy. Krzyczała jeszcze przed ujrzeniem trupa, czuła bowiem, że to jej dziecko, jej własne... Tymczasem stojący pod murem żydzi polscy sprzedawali drobny swój towar... Zwracali się do żołnierzy, wracających z frontu i kupowali od nich monetę włoską. U wyjścia zabierali uzbrojeni marynarze jaja i sadło — zawartość tobołów wieśniaczek. Agitatorzy o czerwonych przepaskach na ramieniu, delegowani przez Radę Żołnierską, rozdawali podburzające odezwy. Jeden z nich perorował. Żołnierze otaczali go, śmiali się także, słuchali go, drapali się po głowach, a po odejściu agitatora nie salutowali już oficerów.

X. Spotkanie Belgradzkie.

8 listopada.

Chmury unosiły się szybko nad Dunajem. Wiatr wył w kominach. Ulice Budy drżały z zimna pomiędzy domami. Tramwaj elektryczny Hüvö-svölgy był prawie pusty. Dojeżdżałam do naszej willi. Obeszłam opuszczony dom, jeszcze nienaruszony. Wracając, kupiłam przez okno tramwaju gazetę. Siedzący naprzeciw mnie młody ochotnik uczynił to samo. Znać było na jego kołnierzu ślady zerwanych oznak. Wielu oficerów przestało było wówczas nosić uniformy. Nosić je było już wstydem. Ci, co czynić to musieli, nie mieli zapewne żadnego cywilnego ubrania, młody ochotnik zdawał się być również ubogim. Zaczęłam czytać południową gazetę.

Belgrad... wszystko znikło dokoła mnie. Poza drukowanemi literami, daleko, bardzo daleko we wspomnieniach, ujrzałam miasto serbskie. Dunaj toczył swe wody, rozpoznałam przystań, cytadelę, dawną węgierską twierdzę Hunyadów, Konok pomiędzy drzewami. A poza miastem mały monaster, gdzie spoczywa w nawie, bez napisu grobowego, poranione ciało ostatniego Obrenowicza obok okaleczonej kobiety, królowej Dragi. Następnie przypomniałam sobie ogród Topchider i brudny kiosk wschodni, przed którym cygani serbscy grali na skrzypcach i śpiewali. Za małemi stoliczkami siedzieli oficerowie w mundurach. Jedli cebulę z chlebem. Niektórzy mieli na piersiach ordery. Jakiś Serb

opowiadał z dumą, iż order ten mogą nosić tylko ci, którzy brali udział w zamardowaniu Obrenowicza.

Po źle brukowanych ulicach dreptało bydło. Nawóz, brudy, pluskwy, objadki i muchy, duże muchy z niebieskawym odcieniem. Skupczina, chodząc tam, myślałam o parlamencie węgierskim. Wiele przecierpiała od tego czasu mała ta stolica Bałkańska. Po ruinach jej przeszli zwycięscy żołnierze Mackensena i Köresa. W chwili obecnej stoją tam, jak żebracy Karolyi i Jaszi, wraz z delegatami Rad Robotniczych i Żołnierskich. Poco się tam udali oni? Dlaczego tam właśnie? Podług komunikatów oficjalnych generał francuski był dumny, bezlitosny. Przyjął memorjał Karolyi'ego, odwrócił się plecami i zatrzasnął drzwi z hałasem.

Dziwnie drżał dziennik w mym ręku podczas odczytywania tego memorjału. Nikt nie pisał nigdy czegoś podobnego o własnym kraju. Proszono dla nas o zawieszenie broni, oskarżając nas przed wrogiem: uciskaliśmy drobne narody, byliśmy tyranami wolności... W odpowiedzi na ten memorjał, okazał się generał francuski nadzwyczaj twardym i pogardliwym! Hańba! Upokarzają owych delegatów, a hańba spada na nas. Franchet d'Esperey szydził każdem słowem z Karolyi'ego i jego towarzyszy. Jaką niezgłębioną pogardę czuć musiał ten stary arystokrata bretoński, ten żołnierz patrjota dla zdrajcy Karolyi'go i towarzyszących mu bolszewików internacjonalistów.

Rada robotnicza... Rada żołnierska... Czy patrzał na semicką głowę Jaszi'ego i, przypomi-

nającą fauna, twarz żyda Hutvany, gdy mówił te słowa:

— Co do was, możecie być przedstawicielami żywiołu madjarskiego, lecz nie całego narodu węgierskiego. Na subtelne zdanie z memorjału wytworzone przez wyobraźnię dziennikarza „od pierwszego listopada nie są już Węgry krajem *nieprzyjacielskim*, lecz terytorjum neutralnem...", odpowiedział generał: — Węgry szli obok Niemców, z nimi będą oni ukarani i zapłacą.

Tym, którzy w Parlamencie węgierskim nad głową konających Węgier, wołali: „Jesteśmy przyjaciółmi Ententy", Karolyi'emu, który przez ambicję prowadził knowania polityczne z Pragą, Bukaresztem i Belgradem, oznajmił Franchet d'Esperey:

— Nieprzyjaciółmi Węgier są Czesi, Słowacy, Rumuni, Jugosłowianie. Niechbym tylko dał im hasło, bylibyście zniweczeni.

Musiałam zmuszać się do dalszego uważnego czytania w gniewie i wstydzie.

Następują warunki zawieszenia broni, nie warunki, lecz rozkazy, jakie dyktuje szef uzbrojonej armji, dokuczającej mu delegacji państwa rozbrojonego!

Rząd węgierski ewakuować musi duże terytorja na Wschodzie i na Południu kraju. Ustąpić trzeba ziemie węgierskie siłom zbrojnym bałkańskim. Oddać musimy ziemie od rzeki Szamos, aż do linji Maros-Tisza, od biegu Dunaju, aż do granicy kroacko-słoweńskiej, ziemie należące do nas od lat tysiąca.

Nagle zmąciły mi się litery. Stały się niby

kamykami w strumyku, leżącemi gdzieś nisko, w głębi wody. Przetarłam oczy i prędko podniosłam głowę. Mały ochotnik nie widział mię. Płakał również. Siedział ze spuszczoną głową, mnąc dziennik, leżący na kolanach. Podczas, gdym czytała, zmieniła się publiczność. Inni podróżni rozmawiali ze sobą: „Mówiono nam zawsze, iż tylko Karolyi otrzymać może dla nas dobry pokój. Przywiezie go za dwa dni. Mówiono, iż on jeden mógł nas uratować..."

— Jeszcze się to nie stało — odpowiedział jakiś pan swemu sąsiadowi. Nie należy się śpieszyć z sądem.

I zaczął czytać na głos, co następuje: Delegacja rządu łączyła podpisanie dokumentu z warunkami streszczonemi przez nią w depeszy, którą Franchet d'Esperey przesłał do Paryża. Rząd podpisze konwencję tylko wrazie, gdy monarchje Ententy zapewnią nienaruszalność granic węgierskich aż do czasu pokoju. W czasie układów Karolyi załatwić ma te sprawy. Bliscy jego twierdzą, iż może on przeprowadzić wszystko pomyślnie w Paryżu. W sześć tygodni zrobi pokój.

Sąsiedzi moi zamilkli. Tłoczyli się, cisnęli, patrzyli przez okna. Jakaś kobieta ziewnęła głośno. Za mną mówiono o drożyźnie środków żywności. Cena kartofli znowu wzrosła...

9 listopada.

Wielkie białe plakaty porozlepiano na murach domów. Rozlepiano je wszędzie, na wszystkich ulicach, na szybach wystawowych,

na oknach kawiarń. Widniały one pomiędzy reklamami kinoteatrów, na słupach ogłoszeń. Nie były to ani rozkazy, ani wyroki, ani proklamacje. Widziałam je zdaleka. Jeden wyraz czernił się wydatnie: Ballada.

Ładny stary wyraz, który zdawał się przychodzić z dni dawnych, by zwiastować coś dniom nowym. Ballada... Słowo to zwracało mą uwagę, nie dojrzałam jeszcze drobnych wierszy tekstu. Musiałam przejść wpoprzek ulicy. Idąc, zapytywałem siebie: „Czy znajdę w Balladzie tej to, cobym zobaczyć chciała! Krzyk cierpienia naszego? Kto ją ułożył? Czy który z poetów dawnych, czy jaki nowy?"

Rząd kazał rozlepić w ten sposób w całem mieście plugawy utwór Renée Erdosa-Goldglanza. „Pojechał do Belgradu dobry Michał Karolyi smutny,

wielki Michał Karolyi..."

Oto, co rozplakatowano dzisiaj na murach Budapesztu. Ballada ta ma wzbudzić współczucie dla Karolyi'ego. Żeby się gniew nie podniósł w duszach, żeby się naród nie litował nad sobą samym, chcą skierować litość w jego stronę. Prawie cała prasa stołeczna posłuszną jest hasłu, mówi w tym samym tonie. Dziennikarze maskują warunki zawieszenia broni, wystawiając na jaw tylko pogardliwą pychę francuskiego generała. Karolyi stał się męczennikiem cierpiącym za naród.

Ludzie na ulicy zatrzymywali się, czytano Balladę i powtarzano: „Biedny Michał Karolyi". A tymczasem rozchodziły się po mieście wiado-

mości. Wiedziano prawdę o dniu Belgradzkim i zaciskano pięście. Franchet d'Esperey przybył z Salonik na aeroplanie. Przed pałacem jego stała warta honorowa. Generał był w pełnym mundurze ze wszystkiemi orderami na piersiach. W ten sposób przyjął tych, których miał za delegatówWęgier. Michał Karolyi i towarzysze jego stawili się w kostjumach sportowych: krótka kurtka i nagolenniki, jakby szli na partję piłki nożnej w Nepliget. Generał, zdumiony, obejrzał indywidua te od stóp do głów, stał się zimnym i dumnym, nie podał ręki nikomu, krzyżując ręce na piersiach. Słuchał niejasnej mowy Karolyi'ego zrazu ze zdziwieniem, potem ironicznie, przeglądając zaś memorjał oskarżający Węgry, memorjał ułożony przez Jasziego, wyprowadził delegatów na pełne światło i zaczął się przyglądać uważnie każdemu z kolei.

— Vous êtes Juif? — spytał Halvany'ego, potem spojrzawszy na Jasziego i Karolyi'ego, zapytał: — I wy także jesteście Żydami?

Obu delegatów Rady robotniczej i Rady żołnierskiej przedstawił mu Karolyi jako „zdobycz rewolucji". Do kapitana Czernyaka, przedstawiciela Rady żołnierskiej, zwrócił się generał w tonie zapytania, wskazując na kołnierzyk jego, na którym brakowało oznak rangi: „Więc wyście tak nisko upadli?" i zamiast salutować, odrzucił dumnie głowę wtył i obrócił się plecami. Potem poszedł na śniadanie ze swymi oficerami, nie zapraszając delegatów, chociaż były tam i dla nich nakrycia.

Delegaci, posiadający mandaty sami od siebie, spojrzeli po sobie zdumieni. Jak oznajmią

o tem oszukanemu krajowi, przed którym ukazywali tyle pięknych rzeczy, krajowi, któremu Karolyi i prasa jego opowiadali przez tyle miesięcy bajkę o swych dobrych stosunkach z Ententą i łudzili nadzieją pomyślnego pokoju?...

Przestraszeni obrzucili się wzajem wymówkami, jeden z nich rzekł do Karolyi'ego: „Przyjmowano cię w Peszcie jak półboga, tutaj zaś traktują cię jak psa..."

Karolyi i towarzysze nie jedli nic dnia tego. Generał Franchet d'Esperey zaś po śniadaniu wyszedł ponownie w mundurze polowym i, z ostremi słowami, wręczył delegacji straszne i upokarzające warunki zawieszenia broni.

Działo się to w Belgradzie 7 listopada. Nazajutrz w Budapeszcie zgromadzili się członkowie rządu na dworcu Wschodnim dla uroczystego przyjęcia delegacji. Hrabina Karolyi, pani Oskarowa Jaszi i inne „panie rewolucji", jak się same przezwały, były obecne. Lecz Karolyi i towarzysze jego obawiali się... Zatrzymano pociąg królewski na małym dworcu w Ferenczvaros. Dzięki niedostatecznemu oświetleniu stacyjki, wyszli wszyscy z wagonu niedostrzeżeni przez nikogo i rozeszli się w różne strony.

W ten sposób ukradkiem przenieśli hańbę Belgradzką do oszukanej stolicy.

XI. Komentant wojskowy Budapesztu.

Co się dzieje? Przed szkołą na ulicy Réaltanoda szeregi marynarzy. W pełnej zbroi stoi na ulicy cały oddział. Przechodnie spoglądają po sobie w niepewności z miną pytającą. Szkoła ma złą opinję. Tutaj to zbierali się tajnie w październiku dezertujący żołnierze, uzbrojeni służalcy rewolucji Karolyi'ego. Tutaj też podobno przygotowywało się oddawna w tajemnicy morderstwo Tiszy.

Czego chcą oni jeszcze?

— Są to marynarze Władysława Fenyesa. Idą do Presburga przeciw Czechom, — rzekł jakiś wysoki blondyn.

Ktoś westchnął: „Biedni Presburżanie". Przerażony blondyn dał mu znak milczenia. Za nim perorował nerwowo jakiś oficer. Przezpół tylko rozumiałem jego słowa. Mówił on, iż na rozkaz Pogany'ego rozbrojono w koszarach I-go pułku honwedów pięciuset oficerów i trzy tysiące szeregowców, chcących iść na obronę Górnych Węgier.

Wówczas przez otwarte drzwi szkoły wyszedł jakiś brunet, barczysty, w mundurze polowym, z wstążką o barwach narodowych u piersi. Głos jego nie dochodził do mnie. Widziałem tylko ruch ust jego. Zwracał się do marynarzy. Oklaski rozległy się na ulicy. Tłum rzucił się naprzód, ja, przeciwnie, usunęłam się, by się wyzwolić z tłoku.

Śpieszyłam ku domowi drogą okólną. Znowu

usłyszałam oklaski, za mną rozlegały się ciężkie kroki. Oddział marynarzy kierował się ku dworcowi. Towarzyszyły mu dwa szeregi manifestantów. Na czele oddziału, z szablą obnażoną szedł ów czarnowłosy mężczyzna. Za nim postępowali ludzie o twarzach galerników w mundurach marynarzy. Większość miała przy czapkach wstążki czerwone. Niebieskie kurtki otwarte były na włochatych piersiach. Ostatni szedł człowiek krępy, z nosem spłaszczonym, brudny i krostowaty w ponsowej chustce jedwabnej na szyi. Kulał, idąc i oglądał się poza siebie. Łuki brwi miał silnie zarysowane i gęste, kości policzkowe wystające, oczy wpadnięte.

Zadrżałam ze strachu. Piraci ci mają bronić Presburga!? Nagle przyszło mi na myśl, iż człowiek dowodzący marynarzami mógł to być Wiktor Heltai-Hoffer, mianowany dnia 31 października komendantem Budapesztu. Słyszałam, że był niegdyś przedsiębiorcą, lecz bywalcy Karolyi'ego opowiadali, iż rozpoczął karjerę jako chłopak w kawiarni Folies-Caprices. Następnie był froterem, podczas wojny zaś żył handlem papierami publicznemi. Spekulował na cukrze, sianie, tłuszczu... W noc rewolucji ofiarował się Heltai zająć z garstką dezerterów Komendanturę Placu. W nagrodę za ten czyn mianowali go Finyes, Keri i inni radcy narodowi komendantem wojennym stolicy. Przez kilka dni, wskutek niepokojących raportów, zawieszono go w urzędowaniu, zdaje się jednak, że Heltai posiada sporo tajemnic, dotyczących obecnego rządu. Z tego powodu, być może dla oddalenia go, mia-

nowanym został naczelnikiem armji obrony, udającej się do Presburga.

Marynarze znikli już dawno, mnie się wciąż zdawało, iż widzę człowieka o spłaszczonym nosie, w czerwonym szaliku, jakby ta łotrowska fizjonomja było fizjonomją całego oddziału.

Niegdyś wyraz „marynarz" wywoływał obraz pięknych dalekich krajów i mórz odległych. Dzisiaj imię to zapiera dech w piersiach i wywołuje strach.

Beret marynarski nad uchem, oczy wpadnięte, oczy wietrzące zdobycz. Okropna ta twarz była w Moskwie w czasie, gdy w Kremlu duszono setkami oficerów carskich. Była w Petersburgu w godziny konania, w Odesie i w Altonie. W Finlandji odbijała się we krwi Finlandczyków, w chwili obecnej jest ona w Berlinie w pałacu cesarskim ubarwionym sztandarami. Błąkała się w podwórzu pałacu w Schoenbrunn, gdy króla Karola wypędzono z rezydencji.

XII. Ustąpienie cesarza-króla.

Jak nie myśleć o nich? Przed oczyma stanęły mi wielkie schody w Schoenbrunnie, gdy po raz ostatni zstępował z nich cesarz, cesarzowa i jasnowłose ich dzieci, wypędzeni z własnego pałacu. Niegdyś na skinienie ich biegły setki służących, niegdyś dworzanie nisko się przed nimi kłaniali. Obecnie w którąkolwiek spojrzeliby stronę, nie odpowie im nigdzie przyjazne wejrzenie. Wszelkie ich wołanie byłoby bezcelowem, niktby się nań nie odezwał.

Gdy król Franciszek Józef konał w małem żelaznem swem łóżku w Schoenbrunn, młody następca tronu Karol i arcyksiężna załamywali ręce w rozpaczy. „Boże, jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz".

Potem otworzyły się drzwi żałobnej komnaty, a para książęca zwolna przechodziła długą galerję. Dwór kłaniał się nisko cesarzowi i cesarzowej. I rozpoczęli tak swą drogę wśród wielu omyłek, rozczarowań i smutków. A oto teraz znikli ze schodów Schoenbrunnu...

Mały następca tronu salutował małą rączką żołnierzy, jak go nauczono. „Nie widzą nas dzisiaj, mamo", rzekł smutnie. Żołnierze w czerwonych czapkach z kokardą gwardji ludowej odwracali twarze. Cesarz, ubrany po cywilnemu wychodził złamany z głową zwieszoną, krok jego rozlegał się po pustym pałacu, ginął w ciemnościach wieczoru w ogrodzie, gdzie Habsburgowie przeżyli tyle pięknych lat pod uroczemi grabami.

Gdy automobile królewskie wychodziły z głównego podwórca, nie słychać było zwykłych trąbek. Gwardja nie prezentowała broni. Na dachu Schoenbrunnu powiewał czerwony sztandar podczas, gdy na frontonie bramy zakrywano pośpiesznie czerwoną szmatą dwugłowego cesarskiego orła.

Szybkie auto przewiozło nieszczęsnego monarchę do Eckertson, gdzie się znalazł pod opieką Rennerów i Bonerów, radców państwa.

Na jak długo? Kto wie, co mu przeznaczenie zgotowało w przyszłości.

Z oczami obłąkanemi, zaczerwienionemi od

płaczu, biegnie lud Górnych Węgier do stolicy, która ich opuszcza. Codziennie zjawiają się ludzie, pozbawieni ogniska domowego, ubrania, kawałka codziennego chleba, otrzymujący po długiem błaganiu, po cenach najwyższych, zamiast wygodnych swych mieszkań, jakiś kącik w oberży dla nociegu.

Deszcz smagał ulice. Zimny wiatr wirował na rogach. Z paczką w reku dążyłam ku jednemu z mniejszych hoteli bulwaru. Dowiedziałam się była zrana, iż przybyli tam ludzie pozbawieni wszystkiego. Hotel był źle przewietrzony, brudny. Winda nie działała, schody wznosiły się gdzieś w ciemność. Na brudnym dywanie widniały ślady nóg zabłoconych. A ponad wszystkiem ostry zapach proszku od robactwa zmieszany z wyziewami kuchennemi.

Na wpółciemnej platformie trzeciego piętra nie mogłam odczytać numeru pokoju. Otworzyłam jakieś drzwi na chybił trafił. Pod oknem stał żyd polski w chałacie. Rozmawiał z współrodakiem, ubranym z angielska, o twarzy świeżo wygolonej. Pośrodku pokoju stały również kobiety. Na stole pozwiązywane szpagatem paczki, zagraniczne bilety bankowe. „Ruble rosyjskie..." pomyślałam, dostrzegając je. Jakiś mężczyzna zbliżył się do mnie, zakrywając pieniądze dziennikiem.

— Czego pani sobie życzy — rzekł tonem zmieszanym, lecz groźnym.

— Omyliłam się — odparłam i zatrzasnęłam drzwi.

Wkrótce za innemi drzwiami znalazłam tych, których szukałam. W skąpem świetle dnia paliła

się lampka elektryczna przy łóżku, na którem leżał blady chłopczyk. Drugie dziecko siedziało na krześle skurczone, machając nóżkami. Ojciec ich stał, odwrócony plecami i patrzał zpoza brudnych firanek na deszcz listopadowy. Matka pochylała się nad chorem dzieckiem, trzymając na kolanach ręce rozstawione w ten sposób, jakby z nich wypadło było wszystko, co posiadała. Poznała mię, nie rzekła nic. tylko skinęła, a oczy jej napełniły się łzami. Mąż odszedł od okna. Na twarzy jego widniała gorączkowa, ponura rozpacz. Z zaciśniętemi pięściami chodził po pokoju, mówiąc jednocześnie:

— Rumuni ograbili nas. Nie zostało nam już nic, a jednak pracowaliśmy przez całe życie. Grabili w naszych oczach, widzieliśmy i niceśmy uczynić nie mogli. Potem wypędzili nas z domu z chorem dzieckiem.

— Co mu jest?

— Tyfus. Oni jednak nie mieli litości. Mały chory rzucał głową po poduszce i jęczał we śnie. Szare, zużyte ściany wchłaniały jęk ten po tylu innych.

Wszystko jest boleścią... Nagle, jakby ktoś otworzył odpowiednią komórkę w mej pamięci, ujrzałam przed sobą człowieka w chałacie, drugiego o twarzy wygolonej: obcą walutę na stole... Nie, oni nie cierpią, nie cierpią ci, co się lokują na szczątkach Węgier.

XIII. Karol IV zrzeka się praw monarszych.

Na stole moim paliła się lampa. Hrabia Emil Desserffy mówił o podróży swej do Eckertson.

Hrabia Mikołaj Esterhazy, Emil Szechengi i ja pojechaliśmy tam. Książę prymas odmówił w ostatniej chwili.

— W jaki sposób zdecydowaliście się na ten krok?

— Zamiarem naszym było przeszkodzić abdykacji króla, prosiliśmy go o usunięcie się *prowizoryczne*. Z początku nie chciał wcale słuchać. Powiedział, że złożył przysięgę narodowi węgierskiemu. Jeżeli inni łamią słowo, jest to ich sprawa osobista z sumieniem: on jednak odstępcą nie będzie. Wytłumaczyliśmy Jego Królewskiej Mości, iż ponieważ, na nieszczęście, odstąpił dowództwo Karolyi'emu, odda większą przysługę przyszłości biednych Węgier i własnej dynastji, zrzekając się prowizorycznie swych praw, niż trzymając się rozpacznie prawa zasadniczego. Może, postępując w ten sposób, udaremni on wysiłki tych, którzy chcą narzucić narodowi spełniony fakt detronizacji. Król tupnął nogą i powtórzył: „Cobądź się stanie, nie ustąpię". Lecz zważywszy za i przeciw i zbadawszy mające zapaść postanowienie, Jego Królewska Mość uznała nasze racje. Własssies zredagował tekst dokumentu, niepodobna go było jednak przepisać ostatecznie, nie znaleziono bowiem ani jednej ćwiartki papieru w całym zamku Eckertson.

Musiano posłać do sklepu. Tam nie było również ani pióra, ani papieru. Czas mijał. W międzyczasie król pojechał na polowanie.

— Na polowanie? — rzekłam.

I tragedja przybrała w jednej chwili szatę komedji.

— I my także byliśmy zdumieni — rzekł Dessewffy, — lecz dowiedzieliśmy się później, że w zamku nie było żywności. Jeżeli król jeździł na polowanie, to tylko by przynieść zwierzyny, mającej stanowić dnia tego cały obiad dzieci jego i królowej. Jakie to smutne! Ubranie ich pozostało w Schoenbrunnie, w pośpiechu wrzucili tylko parę sztuk do automobilu. Dzieci nie mają ubranek na zmianę. Przez kilka nocy spali bez prześcieradeł. Napróżno zwracał się król do Wiednia. Rząd, od którego jest zależnym, nie raczył nawet odpowiedzieć.

Pomyślałam o arystokracji austrjackiej i czeskiej, tak faworyzowanej przez Habsburgów, o tych, co podług etykiety hiszpańskiej, czuli się śmiertelnie obrażonymi, gdyby podczas uroczystości jakiej w Burgu, nie mogli się znaleźć w bezpośredniem sąsiedztwie cesarza i króla. Gdzie byli oni teraz? Gdzie był sztab główny królewski? Ci galonowani generałowie, lejbgwardja i jej komendant? W czasie ostatnich dni Schoenbrunnu usunęli się jeden za drugim, jak morze usuwa się z wybrzeża. „Pozostaliśmy zupełnie sami" — rzekła królowa.

— A potem?... — spytałam hrabiego Dessewffy.

— Po długiem oczekiwaniu przyniesiono

wreszcie dwa arkusze papieru i Emil Szechenyi przepisał bruljon na czysto.

Z nas wszystkich miał on najładniejsze pismo.

Dessewffy pokazał mi tekst oficjalny:

„Od czasu wstąpienia mego na tron starałem się wciąż o uwolnienie mych narodów od okropności wojny, w której ogłoszeniu nie brałem żadnego udziału. Nie chcę, by osoba moja stała się przeszkodą dla rozwoju narodu węgierskiego. Wskutek czego rezygnuję z wszelkiego udziału w sprawach państwowych i od chwili obecnej uważam za prawomocną wszelką decyzję jaką powezmą Węgry przy oznaczeniu przyszłej formy swej konstytucji.

Dane w Eckertson, 13 listopada 1918 r.

Karol“

Król wahał się jeszcze, a dokument leżał na stole w oczekiwaniu podpisu jego. Tak, z piórem w ręku wahał się on boleśnie. Wydawał się zgnębionym. Od paru dni zbielały mu włosy na skroniach. Wtem wytrysnęły mu łzy z oczu, opadł, łkając, na ramię hrabiego Hunyadi. We wszystkich oczach były łzy... W czasie opowiadania Dessewffy'ego przypomniała mi się pewna stara legenda.

Było to kiedyś na wsi.. Wiatr jesienny dął w nocy, a stare topole huczały jak trąby organów w ciemnym kościele. W niskim domku służące łuszczyły fasolę. Promienie kominkowego ognia ślizgały się po rękach. Z kolan sypały im się na ziemię uschłe łupiny. Katarzyna, gospodyni, opowiadała: „„...I weszli źli rycerze do namiotu króla z ogromnemi toporami, z maczugami

i rzekli mu głosem strasznym: „Oddaj koronę, lub umrzyj". Królowa złożyła ręce. Król zaś zdjął koronę z głowy..." Tak opowiada legenda. Służące płakały nad losem biednego króla i przyznawały mu rację w głębi serca. W bajkach zawsze słuszność mają nieszczęśliwi; w bajkach, lecz nie w życiu.

„Niech żyje Michał Karolyi. Wybierzmy go na prezydenta republiki" głosiły białe płachty papieru, rozlepione na domach.

Michał Karolyi w pierwszych dniach wojny zakładał się, że będzie prezydentem republiki węgierskiej... Czy wygra jutro? Ale ktokolwiek wygra zakład, Węgry stracą na tem.

Plakaty, świeże plakaty zakrywają dawne. Nowa hańba przykrywa wczorajszą, tylko tyle zmienia sie w życiu. Na ulicach powiewają wielkie flagi. Chorągwiami przybrane są słupy lamp elektrycznych. Rząd nakazał udekorować wszystkie domy w kraju. A w prasie przygotowuje się nastrój na jutro. Tłuste czcionki głoszą:

„W strzeleckich rowach francuskich wywieszono czerwoną chorągiew..."

„W Belgji wybuchła rewolucja..."

„Szwajcarja w przeddzień rewolucji..."

Słyszałem jak jakaś dziewczynka (pensjonarka) mówiła do drugiej: „Wielki człowiek ten Korolyi, stwarza modę, teraz naśladują nas nawet Francuzi..."

„Niech żyje" wykrzykiwały ściany i wystawy, ale ludzie milczeli. Dlaczego milczą? Dlaczego nie zdzierają tych podłych plakatów? Dlaczego godzą się z tem. Spojrzenia ich obojętnie przyglądały się plakatom. Obojętne były

one dla nich. Czyż tylko ja jedna stoję w opozycji? A może jest nas takich więcej, tylko nie wiemy o sobie?

16 listopada

Leżę chora. Za oknami świszcze wiatr. Obudził mię hałas. Krzyki sprzedawców gazet. Przyniesiono jeden taki dodatek. „Zwycięska rewolucja. Królestwo umarło, niech żyje niepodległa, Węgierska Republika". „Wielkie dziś święto na Węgrzech".

Sklepy zamknięte. Tramwaje nie chodzą. Ustał ruch na ulicach miasta. Przed wejściem do parlamentu kordon marynarzy.

Godzina dziesiąta. W gmachu parlamentu dzwonek oznajmia posiedzenie. Sejm węgierski rozwiązał się sam ku wiecznej swej hańbie, bez słowa protestu. Przez ten czas w bocznem skrzydle parlamentu zebrał się senat (Izba Panów). Ogółem 32 senatorów. I oni również zapomnieli dawnego hasła: „Moriamur pro rege nostro". Przemawia przewodniczący baron Juljusz Wlassics. Mądrze, pięknie mówi i nie chce naśladować smutnego przykładu sejmu. Broni jak może.

A w sali sejmowej przemawia ten, którego poprzedniczką była zdrada, morderstwo i rozbicie kraju, a następcą zaś będzie anarchja.

Przemawia Jan Hock, wyklęty proboszcz, przewodniczący tak zwanej Rady Narodowej. Do kogo mówił nie wiadomo, nikt z obecnych na sali nie odpowiedział mu.

Na zakończenie odczytał decyzję, w której Jaszi, Keri, Kunfi i Landler piszą „w imieniu

narodu i z woli ludu..." Mówią w niej, że Węgry są samodzielną republiką ludową, niezależną od żadnego innego państwa, główną władzę państwową wykonywa czasowo rząd ludowy pod przewodnictwem Michała Karoly'iego, z pomocą Rady Narodowej. Rząd ludowy ma szybko stworzyć prawa ludu: prawo wyborcze czteroprzymiotnikowe, rozciągające się i na kobiety; przysięgłe sądy ludowe; prawo wolności zebrań i stowarzyszeń; reforma rolna.

Zebrana w sali publiczność jednogłośnie zawołała: „Przyjmujemy".

Potem przemawiał Michał Karolyi. Mówił o złożeniu z tronu dynastji habsburskiej, deklamował o świętych punktach Wilsona, przymierzu narodów, prawie samorządzenia się, o wiecznym pokoju, o tem, że jeden tylko jest program; a to *program pacyfizmu*, jest to program wszechświatowy, da się wyrazić jednem słowem: *„Pacyfizm"*.

Pomimo całego tragizmu musiałam roześmiać się. W chwili gdy on głosi pacyfizm, militaryzm wielką falą wlewa się do Węgier.

Przemawiał jeszcze Kunfi. Poza tem: Eugeniusz Landler, Jakób Weltner, M. Buchinger, Wilhelm Böhm i Maurycy Preusz i zachwalają republikę... Ani jednego Węgra nie było między nimi. Precz z maską: Michał Karolyi, a pod nim prawdziwa twarz: obca rasa.

Jednocześnie grały orkiestry węgierskich robotników i cyganów hymn narodowy i Marsyljankę, a Galileiści śpiewali Międzynarodówkę.

Robotnicy rozchodzili się wolno, rozmawiając o tem, jak teraz będzie dobrze, tanio.

XIV. Cierpienie warstwy mieszczańskiej.

Pada śnieg. Odbicie białych dachów rozjaśnia szare niebo. W pokojach pali się skąpy ogień. Serbowie zajęli kopalnie węgla w Pees, Rumuni — w Petrorseny. Niema już węgla na Węgrzech, Czesi zatrzymują transporty niemieckie. Płomień piecyków gazowych zmalał, nie grzeje już wcale. Nowy dekret zmniejsza również zużycie elektryczności: jedna żarówka na pokój.

Na stole w sali jadalnej są jeszcze w srebrnych wazach gałęzie choiny z Hüvesvölgy, lecz kwiatów już niema. Wszystko takie drogie. Pożywienie staje się bardziej ograniczone, udaję, że nie widzę tego. W czasie długoletniej wojny mieliśmy częstokroć zamiast kawy, herbaty, rumu i cukru „ersatze". Przyzwyczailiśmy się do zamiastek. Teraz przyszło zmniejszenie ilościowe. Półki w sklepach są puste, nowe towary nie przychodzą. Ci co mogą to czynić, kupują i gromadzą. Niemcy i Austrja już nie wysyłają. Obręcz nad zubożałym narodem zaciska się.

Po przeciwległej stronie ulicy świeci się w oknie pomimo spóźnionej pory. Widzę mężczyznę segregującego odzież. Rozwija paltot, przygląda się kamizelce i bieliźnie. Nadchodzi kobieta. Naradzają się. Rzucają okrycie na stół. Resztę odzieży chowają do łóżka, pod materac. Segregują następnie obuwie. Kobieta kładzie parę bucików obok paltota, chowa resztę do szafy, za książki. W ten sposób chowają i segregują we wszystkich domach po kraju całym.

Rząd Karolyi'ego nakazał żołnierzom zdemo-

bilizowanym zdobyć sobie potrzebne ubranie drogą rekwizycji. Żołnierze ci przychodzą „z mężami zaufania" zabierać z każdego domu bez odszkodowania ubranie, bieliznę, obuwie. Ukrywającym swoje rzeczy konfiskują władze wszystko, prócz jednego ubrania, narzucając karę 2000 koron lub więzienie do sześciu miesięcy.

Dekret ten ma dziwne skutki. Uderza w pierwszym rzędzie tych, którzy cierpieli najbardziej wskutek drożyzny życia, wyzysku sklepikarzy. Warstwa średnia ma swoją biedną, zużytą, wytartą odzież, jest to niemal jedyne jej mienie. Zachowuje w ten sposób przyzwoity wygląd zewnętrzny i odziać może dorastającą dziatwę w przerabiane ubranie. Dekret ten wykazuje też nową niezwykłą tendencję. Państwo zaczyna rozporządzać własnością prywatną bez odszkodowania. Przypisuje sobie prawo rekwirowania w każdej rodzinie. Jest to mały wyłom w prawie własności prywatnej.

Gdzieś, w ciemnościach, w okolicach szpitala św. Rocha strzelają o tej porze. Po przeciwległej stronie ulicy, w oświetlonym pokoju kobieta podnosi głowę. Spostrzega, że zapomniała zapuścić żaluzji w oknie. Przerażona spuszcza pośpiesznie firankę, jakby we własnym swym domu była złodziejką własnego mienia dla siebie samej.

Patrząc na nich, dziwiłam się sobie, albowiem pochwalałam w głębi duszy tych ludzi, usiłujących obejść dekret. A jednak pojęcie o honorze nie zmieniło się. Jeszcze trzy tygodnie temu prawo było dla mnie obroną. Dzisiaj oznacza

ono „atakowanie" i my wszyscy, prześladowani, bronimy się przeciw niemu.

20 listopada

Usłyszałam w salonie znajome kroki. Szły w stronę pokoju matki. To brat mój Geza. Gdy weszłam do pokoju, siedział zgarbiony w zielonym fotelu.

— Wszyscy są złodzieje i łobuzy. Słyszałem od podpułkownika Julier... Straszliwie oszukują kraj. Czy wiesz, że umowa belgradzka o zawieszeniu broni była zbyteczna. Wspólne dowództwo zawarło 4 listopada umowę o zawieszeniu broni dla nas z Diazem, pełnomocnikiem wszystkich armij ententy. Umowa ta pozostawia nienaruszone wszystkie ziemie węgierskie. Na tej podstawie linje demarkacyjne szłyby granicami kraju. A co zrobił Michał Karolyi 6 listopada w Belgradzie?"

Przejmująca cisza w pokoju.

— A może nie wiedzieli, może Karolyi nie wiedział o tem, co zawierała umowa z Diazem?...

— Właśnie, że wiedzieli, umowę miał w kieszeni Karolyi, jadąc do Belgradu. Zrobili to dla sławy. Dla tej wątpliwej chwały, że z jego imieniem związany jest pokój. Franchet d'Esperay nie rozumiał, poco przyszli do niego. A gdy zrozumiał, powiedział sobie: „Chcecie tego, to macie".

Jakie to dziwne, że wszystko stoi na miejscu i lampa, i otomana-szafa... Spostrzegłam, jak matka ściska pięści konwulsyjnie. A potem usłyszałam głos jej, wychodzący jakgdyby z pod

gruzów: „Jeżeli przekleństwo starej kobiety może się spełnić, przeklinam ich".

24 listopada

Dzisiaj w nocy pisałam listy. Rano posłałam po marki pocztowe. Położono mi je na stole. Co to jest? Przez koronę Świętego Stefana biegnie czarna pieczątka „Republika".

Przez naszą koronę... nasza korona!...

To nie klejnot, nie ozdoba, ale całe Węgry. Przechodziły królestwa przez ziemię, ale nie było takiego narodu na świecie, dla którego korona była tem, czem ona jest dla nas. Razem z nią niszczą nietylko królestwo, ale to, czem byliśmy i czem będziemy.

Obóz zdrajców kraju, ludzi bez ojczyzny, świętokradzką dłonią zrzucił koronę Świętego Stefana. A korona była nietylko na głowie królewskiej. Jak złota obręcz spajała olbrzymi łańcuch Karpat, Siedmiogród, błękitną zatokę Adrjatycką, Kroację i Slawonję. Teraz, gdy obręcz złota nie obejmuje tego, rozpadło się wszystko, co było jednością przez całe wieki.

Gdy przed kilkoma dniami strażnik koronny hr. Ambrozy przyszedł do Karolyi'ego i prosił o audjencję, Karolyi, siedząc właśnie przy drugiem śniadaniu z hr. Pejasevichem, kazał mu czekać bardzo długo, aż wreszcie na prośby hr. Pajasevicha po zjedzeniu śniadania i wypaleniu cygara, wyszedł do Ambrozy'ego i wrócił po dwóch minutach. „Załatwiłem go — powiedział i dodał śmiejąc się, — pytał, co się stanie teraz

z koroną. Odpowiedziałem mu: złóż ją do banku, albo schowaj do kieszeni, co mię ona obchodzi...

XV. Bela Kun.

Niebo zeszło z wyżyn i kładzie się na dachy domów. Śnieg pada nieustannie i gromadzi się na ulicach. Lecz próżno urząd Zdrowia Publicznego rozlepia ogłoszenia, poszukuje robotników dla sprzątania śniegu po 20 koron dziennie. Robotnicy czytają ogłoszenia, śmieją się i idą po zapomogę dla strejkujących. A śniegu wciąż przybywa, na małych uliczkach sięga już do kolan przechodniów.

W okolicach dworca Wschodniego, zdaje się, jakby się szło po białem polu wśród białej mgły. Wewnątrz dworca gromadzą się śmiecie i gnijące odpadki. Nikt już nie czyści. Dla bezrobotnych są zapomogi.

W infirmerji dworca zapach ciężki, nieznośny, zapiera oddech. Robactwo roi się po ścianach. Chleb przeznaczony dla rannych jest niejadalny. Zamiast herbaty — pomyje. W piecach się nie pali, a ludzie drętwieją z zimna. Nigdy podczas wojny nie było to miejsce tak rozpaczliwie smutne jak teraz. Jednak, wobec mniejszej ilości rannych, sala pełna jest żołnierzy odpoczywających w podróży. Przybywają z dalekiego pola bitwy w łachmanach, wygłodzeni i dowiadują się najczęściej, iż nie mogą wrócić do siebie. Nie wiedzą dokąd iść... Serbowie, Rumuni, Czesi zajęli stare wioski chłopów węgierskich.

Jakiś huzar, siedząc na ławce, klął głośno, w przerwach zaś płakał jak dziecko. Wieśniak z Banatu, stary, ranny żołnierz, zalewał się łzami, trzymając głowę rękami opartemi na kolanach. „Serbowie u nas. Biedna ojczyzna, biedna ojczyzna". A sierżant sanitarny w czapce o czerwonej kokardce, śmieje się tymczasem serdecznie.

Wieczór zapadł. Wielki świecznik zwieszał się z sufitu brudnej sali. Zaimprowizowane boczne lampki dawały męczące światło półcienia. Niewidomy żołnierz w niebieskich okularach, wiecznie się uśmiechający spazmatycznie, leżał rozciągnięty wzdłuż ławki, nasuwając czapkę na swe zgasłe oczy.

— Czy nie jesteście z Alfoeld?

— Jestem z Szabouta... — odpowiedział przez nos, nawpół śpiący.

Nagle stanęła mi w oczach równina w dusznem gorącu minionego lata, widziałam młodzieńca leżącego pod stogiem siana, jak w czasie odpoczynku południowego nasuwał sobie na oczy kapelusz o szerokich skrzydłach.

Biedny młodzieniec czy wie, że napróżno poświęcił oczy swoje!

Jeden z ambulansowych przyszedł oznajmić, iż po drugiej stronie drogi w barakach byli ranni. Zaniosłyśmy im herbatę z chlebem, siostra moja Vera i ja. Idąc, usłyszałam rozmowę pod murem. Żołnierze rozmawiali ze sobą: „Wsadziłem tak mocno nóż, iż wyszedł mu przez grzbiet. Drugi uciekł". „Ja również wyekspedjowałem jednego" — zamruczał głos cichszy. Zdawało mi się, że to sen. Zatrzymałam się, nie zrozu-

miałam jednak tego, co mówili potem, używali bowiem jakiejś gwary. „Doniosę na nich". Myśl ta błysnęła na mgnienie oka. Ujrzałam w tej chwili sierżanta z czerwoną opaską i złotemi binoklami idącego ku nim i podającego im rękę... Poszłam dalej. Za mną rozmowa stała się głośniejsza, wymówiono nazwisko, które usłyszałam niewyraznie, a które wydało mi się znanem: Bela Kun. Agitator komunistyczny, przebywający w Rosji. Trocki wysłał go wraz z innymi pracować na Węgrzech, przywieźli, jak się zdaje, dużo pieniędzy i przyczynili się prawdopodobnie do wypadków październikowych. Inni przybyli potem. Rząd wie o tem. A jednak zezwala im przekraczać granicę. Trocki, Liebknecht, Róża Luxemburg i tamci... Jakie nici łączą ich w przestrzeni lub czynionych przez nich podkopach?

Po przedmieściach Budapesztu krążą krwiożercze bestje o czerwonych oczach. Dziś jeszcze pełzają w cieniu pod murami, kryjąc pazury. Lecz jutro — kto wie?

Wieczorem mówiłam o tem wszystkiem z matką. Ona również obawiała się tego, którego zowią Bela Kun. Prawdziwe imię jego jest Berele Kohn. Ojciec jego pochodził z Galicji i przeszedł granicę z tobołkiem. On zaś stał się już dziennikarzem i sekretarzem partji socjalistycznej w Koluzsvar. Był następnie kasjerem Ubezpieczenia Robotniczego, którego pieniądze zdefraudował. Wojna uratowała go od kary. Powołano go pod chorągiew. Poszedł na front rosyjski — poddał się wkrótce wrogowi. Dzięki swym międzynarodowym stosunkom żydowskim wysłany został do Moskwy. Tam poznał się z Trockim

i rozpoczął propagandę wśród jeńców wojennych. Stał się przywódcą komunistów żydowskich na Węgrzech i redaktorem węgierskiego dziennika „Rewolucja socjalna". Jeszcze wyżej. W pewnem małem rosyjskiem miasteczku był on prezydentem bolszewickiego dyrektorjatu i odznaczył się okrucieństwem.

— Słyszałam, mówiła mi matka, iż wrócił z masą pieniędzy rosyjskich. Lecz rząd Karolyi'ego pozostawia go na wolności.

4—7 grudnia

Żyjemy w bagnie, dokoła, bez wszelkich przeszkód organizuje się z hałasem bolszewizm. Szłam wzdłuż Dunaju. Mały statek ciągnął za sobą z prądem galerę. Na schodach przystani siedział człowiek z głową zwieszoną między kolanami. Dziecko jakieś minęło mię. Bose jego nóżki owinięte były w kawałki starego dywanu, a sznurek, który je przytrzymywał, wlókł się po ziemi. Sklepy były pozamykane, ulice ziały ciemnością. Na chodniku pochylała się jakaś dziwaczna drobna postać. Zbliżywszy się, zobaczyłam przed nią pudełka i kosze śmieci. Była to staruszka w wytartym kapturku, w staroświeckiej pelerynie, wyszywanej paciorkami, grzebała w nieczystościach. Na ręku zawieszony miała koszyczek, zbierała weń resztki zepsutej żywności znalezionej w skrzyniach.

Wtem mężczyzna jakiś stanął na jednej z pak z odpadkami i przemówił:

— Wszystkiemu winni są burżuje, hrabiowie.

księża, mieszczanie. Trzeba wymordować ich wszystkich.

Ciężki gniew istot cierpiących, zemsta ograbionych i bezdomnych, zwierzęca wściekłość głodnych — wszystko to ogniwa jednego powolnego, ponurego łańcucha.

11 grudnia

Tak zwani „bezrobotni" potężniejsi są niż pracownicy i bardzo liczni. Wodzem ich jest Bela Kun. Nie brak im pieniędzy. Unikanie pracy jest obecnie najlepszym sposobem zarobkowania pod opieką rzadu. Miljony zostają roztrwaniane na pomoc strejkującym, tymczasem nikt nie chce zamiatać ulic, brud i śnieg gromadzi się, a gnijące odpadki leżą pode drzwiami.

Wczoraj po długiem chodzeniu zdobyłam sobie kilka worków węgla po szalonej cenie. Woźnica zrzucił węgiel przed okienkiem piwnicy. Prosiłam by go zepchnął łopatką do wnętrza. Zaklął. Godzina była późna, a robota jemu niepotrzebna. Napróżno obiecywałam mu dobry napiwek. Musiałam z pomocą małej naszej służącej zrzucać węgiel do piwnicy.

Widziałam temi dniami oficera popychającego taczki, wiózł sobie drzewo. Brat mój przyniósł nam kartofli w ładnym angielskim kuferku, nie znalazł bowiem tragarza za żadną cenę. Niedawno kilku urzedników miejskich zczyszczało osobiście odpadki kuchenne w stolicy. Żaden woźnica nie chciał tego zrobić. Urzędnicy zarobili dnia tego 130 koron zamiast 10 czy 20 koron swej zwykłej dziennej płacy.

A jednak przed maneżem oblegają tłumy kasę pomocy dla bezrobotnych. Silni młodzi ludzie, służące bez zajęcia bawią się wytwarzaniem ogonków. Otrzymują 15 koron dziennie, lecz nie są zadowoleni. Chcą 30. Agitatorom i to nie wystarcza. Mieszają się z tłumem, powtarzając uparcie: „Wszystko jest wasze, przyjaciele".

Niema już nic w duszach prócz nienawiści i obojętności. Byłam dzisiaj na pogrzebie młodej kobiety zmarłej na grypę. Dorożkarze nie chcieli wieźć na cmentarz. Poszliśmy wszyscy pieszo. Ksiądz również się spóźnił, nie znalazłszy dorożki. Ciemno już było w wielkim ogrodzie umarłych wśród czarnych cyprysów, gdy trumnę spuszczano do dołu.

Grabarze czekali długo, niecierpliwili się i szemrali grubjańsko. Jeden z nich spojrzał na zegarek.

— Już późno, — rzekł szorstko — pogrzebiemy ją jutro.

Wetknęli łopaty w ziemię, wzięli kapelusze i poszli.

Trumna stała w otwartym grobie, wśród ciszy słychać było usuwające się i spadające drobne grudki ziemi. Patrzyliśmy na siebie niezdecydowani. Nikt nie śmiał przemówić.

— Nie zostawię jej tak — rzekł mąż.

Wziął w drżące ręce łopatę i rzucił sam ziemię na to, co miał najdroższego w świecie. Grudki zadźwięczały na trumnie. Chwilę staliśmy obezwładnieni grozą. Potem wszyscy obecni pomagać zaczęli gołemi rękami. Łkanie rozdzierające protestowało w ciemnościach przeciw okrucieństwu ludzi...

13—15 grudnia

Nieszczęść, jakie spadły na kraj naprawić się nie da. Odszedł Bakayny, odszedł Wojciech Bartha, żołnierz czujący po węgiersku. Socjaliści przeznaczyli tekę spraw wewnętrznych dla komunisty Eugenjusza Landkera. To się nie udało. Pomimo to zwycięstwo jednak socjalistów jest pełne. Otrzymali tekę spraw wojskowych. Narazie Karolyi, tymczasowy minister wojny, ale już widać, że za nim stoi socjaldemokrata Wilhelm Böhm, mały żyd-mechanik, który niedawno jeszcze naprawiał przewodniki elektryczne i maszyny do pisania w ministerstwie.

— Dobrze, że pan przyszedł, niech Pan naprawi moją maszynę — wołały maszynistki, ujrzawszy go na korytarzu w ministerstwie.

— Jestem ministrem — odpowiedział dumnie Böhm i zajął miejsce Barthy'ego.

On już nazywa się ministrem węgierskim. Karolyi jeszcze go kryje. Przyzwyczailiśmy się już do tej gry.

31 grudnia

Przypadkowo szłam tamtędy.

Przed koszarami Marji Teresy już od rana ściągano ławki, robiąc z nich barykady na chodniku. Za barykadami umieścili się żołnierze z karabinami i nie przepuszczali nikogo, strzelając od czasu do czasu.

Weszłam do sklepu. Ktoś opowiadał, że w koszarach odbywa się wiec komunistyczny.

Przyjdzie Bela Kuhn z koszar Franciszka Józefa, gdzie podburzał żołnierzy do wypędzania oficerów, lecz żołnierze byli niezdecydowani. Ktoś wystrzelił z okna do tłumu, zgromadzoneg na dziedzińcu. Zdołu odpowiedziano strzałami. Wywiązała się gęsta strzelanina. Zbuntowani żołnierze rzucili się na oficerów i wdarli się do składów amunicji. Około czterech tysięcy ludzi uzbrojonych jest już w drodze, zajmą ulicę.

Cztery tysiące ludzi. Tylu właśnie Rumunów zajmowało Kolozsvar (Klauzenburg), ale czterech tysięcy Węgrów nie było, aby stanąć przeciw nim. Władysław Fenyes z upoważnienia rządu rozbroił i wydalił gwardzistów siedmiogrodzkich. Napróżno potem pięście Seklerów biły Fenyesa, Rumuni jednakże wydarli Kolozsvar z całości kraju...

Później dowiedziałam się, co się stało w koszarach Marji Teresy. Bela Kun i tam miał podburzającą mowę. Żołnierze zaczęli mu grozić. Bela Kun próbował mówić, żołnierze nie dopuścili go do słowa. Zaczęto go bić, potem zaciągnięto do aresztu i zamknięto na klucz. Wielka uciecha była w koszarach. Przez chwilę zdawało się, że żołnierze z koszar Marji Teresy zwyciężą anarchję. Wtedy przyjechał autem Józef Pogany. Nerwowo wypytywał, co się stało. Skrzyczał oficerów i żołnierzy i pobiegł do Beli Kuna. Długo naradzali się z sobą. Później Pogany uroczyście uwolnił komunistów i posadził Belę koło siebie w aucie. W międzyczasie nadeszli zbuntowani żołnierze z koszar Franciszka Józefa. Poszło prędko. Zanim auto z Pogany'm

i Belą Kunem odjechało, już żołnierze krzyczeli na całe gardło: „Niech żyje komunizm!"

10 lutego

Otworzyły się cicho drzwi mego pokoju. Nasza mała pokojówka wsadziła głowę: „Znów przyszli. Napróżno mówię im, żeby sobie poszli, nie chcą odejść!..."

Znów są tutaj. Zerwałam się od biurka, przebiegłam przez zimny salon. W przedpokoju lampa się nie paliła. W półmroku ujrzałam dwóch żołnierzy i jednego cywilnego.

Kogo panowie szukają? Mnie. Z urzędu mieszkaniowego. Ale ileż razy oglądano już tu mieszkanie.

Ale ludzie nie chcieli odejść. Przeprowadziłam ich przez mieszkanie. Gdy doszliśmy do mojego pokoju, człowiek w ubraniu cywilnem wyjął notatnik i zaczął go przeglądać, potem spojrzał na mnie i zapytał: „Czy to Pani pokój".

— Tak.

— Jesteśmy z policji. Mamy przeprowadzić rewizję tutaj.

Dziwnie przykre ściśnienie uczułam w okolicach żołądka.

Jakiem prawem. Ale, rozmyśliłam się, przypomniało mi się pochowane srebro. Najmądrzej będzie, gdy nie będę się sprzeciwiać. Oddałam klucze. Jeden zaczął szukać w jednej stronie pokoju, drugi w drugiej. Cywil usiadł przy biurku i zaczął wyciągać szuflady.

— Czy pani wie o przygotowanej kontrofensywie?

— Owszem, dowiedziałam się o tem z „Nepszava" (Głos ludu — dziennik budapeszteński, przyp. tłum.).

I raptem ogarnęło mię przerażenie. Chciałam krzyczeć, wymyślać im, że obcy ludzie dotykają się moich rzeczy, otwierają szuflady, szafy, a wszystko to dzieje się na Węgrzech, w złotym okresie wolności ludów, a ja jestem Węgierką.

Gdy ci trzej, po bezowocnych poszukiwaniach wyszli, byłam bezgranicznie wyczerpana. Otworzyłam okno i trzymałam je otwarte przez cały wieczór.

1 stycznia 1919

Z początkiem roku tego nie śmią ludzie życzyć sobie wzajem szczęścia. Szepcą coś, spuszczają oczy, patrzą w ziemię w sposób dziwny, jakby spojrzenie sięgało w grób otwarty.

Czesi zajęli Kassę. Pod wieżą starej katedry, u dołu w krypcie pokazuje im Rakoczy swą pięść trupią: „Czyż na to przynieśli tutaj moje kości?" W tym samym czasie na żądanie „mężów zaufania" Żołnierskiej Rady Peszteńskiej opuścili żołnierze węgierscy Presburg. Chciwie objęła władzę miejscowa Rada robotnicza, dzisiaj zaś, 1 stycznia pułkownik włoski Ricardo Brecca wchodzi do miasta z tysiącem żołnierzy czeskich. Nad Dunajem stoją obok konia koronowanej monarchini dwaj Węgrzy mówiący: *Moriamur pro rege nostro*.

XVI. W wigilję komunistycznego zamachu stanu.

między 1—5 marca

Jeszcze zima, wiatr przynosi czasem z nieznanej dali wrażenia odradzającej się przyrody. Marzec... miesiąc gorączek i powstań. Niepokoje i trudy nawiedzają ziemię jedne za drugiemi. Wody występują z brzegów i pędzą. Gdzieś na horyzoncie stoi niewidzialna wiosna.

Czyją będzie ta wiosna? Nasza, czy ich? Złowróżbne znaki świadczą przeciw nam. Potwór, wywleczony z ciemności przez Karolyi'ego, ukazuje się coraz wyraźniej, otacza już miasto tysiącem ramion. Pazury jego wpijają się w żywe ciało Budapesztu, a gdzie się zagłębia, jęczy ulica, a sztandar czerwony wypływa z domów, niby struga krwi.

Członkowie klubu Galilejczyków wypowiedzieli się wyraźnie na swem ostatniem zebraniu, jako komuniści. Marja Goszthonyi i Eliza Brondstein—robotnice socjalistki zorganizowały w byłej Izbie Poselskiej manifestację przeciw szkole narodowej i wyznaniowej. Z inicjatywy księdza Jana Kocha żądają zniesienia celibatu księży katolickich. Pogany zwrócił się do wojska, prosząc o wskazanie, za pośrednictwem „mężów zaufania", oficerów o najbardziej postępowych poglądach, zamierza bowiem wypędzić resztę. Rada Robotnicza potępiła w sali Ratuszowej system własności i podziału ziemi. Podział gruntów zostawiłby, do pewnego stopnia, ziemię w rękach Węgrów, opóźniłby realizację projektów zdobywców nowego rodzaju. Pragną więc „uspo-

łecznienia ziemi" i wymagają założenia „kooperatyw eksploatacji" kierowanych z Budapesztu przez indywidua, które, następując po usuniętych właścicielach węgierskich, byliby, podług słów Kunfiego, „przeniknięci duchem nowych Węgier"... przygotowują rewolucję agrarną podług tegoż planu, co rewolucję polityczną. Objąwszy ster, będą panami statku.

12 marca

W imieniu Stowarzyszenia Kobiet Węgierskich uczyniliśmy największy wysiłek. Zebraliśmy się dzisiaj w mojem mieszkaniu z przywódcami partyj węgierskich. Czuliśmy wszyscy bicie ostatnich godzin nad głowami naszemi oraz świadomość, iż nie umiejąc się połączyć, otworzymy wrota niewypowiedzianym klęskom. Przybył hrabia Stefan Bethlen, Aleksander Ernst, książę Grzegorz Pallavieini, zastępca Franciszka Heinricha, książę Hohenlohe, a wreszcie Marcin Levaszy. Gdy po długiej dyskusji pozostałyśmy same w kobiecym Kole, hrabianki Bothyani, Zichy, Emma Desseffy, Gabryela Vay, Elżbieta Kallay, rozpacz nasza wypowiedziała się w słowach: „Wszystko napróżno".

Przed położeniem się spać przyniosła pokojówka matce mojej rachunek, uczułam na sobie pytające jej spojrzenie.

— Pani wydaje się zmęczona. Tak dużo było gości, może to jakie zgromadzenie.

Odpowiedziałam raczej bezwiednie, niż z namysłem:

— Rozważaliśmy, czy będziemy mogli zorganizować w tym roku kwestę na biedne dzieci.

A potem bez przejścia, w uczuciu osobistej samoobrony:

— Czy narzeczony twój jest rzeczywiście szoferem Pogany'ego.

Pytanie było tak nieoczekiwane, iż dziewczyna nie zaprzeczyła.

— Wozi czasem Pogany'ego, czasem Boehma.

— To właśnie chciałam wiedzieć.

13 marca

Tłumy ludzi stały na rogach ulic. Na murach znów ponaklejano nowe plakaty. Widać było na nich olbrzymiego robotnika, schylającego się w stronę parlamentu. Przy nim stał kubeł z farbą, a on wielkim pendzlem malował na czerwono olbrzymi gmach parlamentu. Pod obrazem stał napis: Wszyscy głosujmy za partją socjaldemokratyczną.

W ostatnich dniach nalepiałyśmy małe plakaty. Była na nich mapa Węgier. Na białem polu granice Węgier oznaczono kolorem zielonym pod spodem czerwonemi literami: Narodowy Związek Kobiet węgierskich. Im wolno nalepiać, co chcą, a nasze plakaty zajmujące tak mało miejsca zdzierano. Zobaczyłam małego chłopczyka, który to czynił.

— Dlaczego to robisz mały, przecież nic ci nie szkodzą?

— Dostaję dwadzieścia koron dziennie za zdzieranie takich kartek o barwach narodowych.

Tam obcy rabusie bezkarnie rozdzierają nasz

kraj, tu w stolicy zapłaceni chłopcy węgierscy zdzierają mapy kraju.

Przyszłość rozdziera się sama.

15 marca

Nadeszła sześćdziesiąta pierwsza wielka rocznica. Przez lat dwadzieścia, w czasie absolutyzmu austrjackiego obchodził naród święto owe tajnie. Potem nadeszła chwila rozwinięcia trójkolorowych sztandarów. Hymny, pieśni, przemówienia, pochody. Więcej niż przez pół wieku był 15 marca świętą uroczystością wolności. Jak bladym i smutnym jest ten dzień dzisiaj. Jak rzadkie są dziś sztandary i jak spróchniałe ich drzewca. Świeto narodowe, którego się wyparł rząd obecny dla przypochlebienia się komunistom. Miasto, prawie nieme, usnęło wcześnie. Szyldy sklepowe dzwonią w ciemności poruszane zimnym wiatrem marcowym. U drzwi golibrodów tańczą talerzyki miedziane. Drzemie nasza uliczka, a w sąsiednim pokoju zegar z kolumienkami wydzwania dwunastą. Któż to przeszedł ulicą w ten czas burzliwy? Przesunęła się jakaś biała postać w staroświeckim dolmanie. Wiatr podnosi odwinięty kołnierz koszuli, twarzy nocnego przechodnia nie widać prawie. Czako nasunięte ma na oczy.

Idzie smutnemi, pustemi ulicami. Słyszę brzęk jego ostróg. Duża szabla uderza po wysokich cholewach butów jego. Samochód przejeżdża ulicą. Wewnętrzna lampka elektryczna oświetla otyłego mężczyznę o dużej twarzy, siedzącego na poduszkach powozu. Patrol skręcający w ulicę poznaje go. „Pogany“ mówi jakiś żołnierz...

Czerwoni żołnierze stukają obcasami po bruku. Mijają zbliska człowieka w białym płaszczu, lecz nie widzą go. On zaś widząc czerwoną plamę ich czapek, szepce: „Co uczyniliście z mym trójkolorowym znakiem?"

I widząc chorągiew czerwoną, szepce: „Co uczyniliście z mojemi sztandarami?"

Przechodzi pod oświetlonemi oknami. Tam wysoko, w biurze jakiegoś dziennika wre praca. Czerwoni żołnierze z rewolwerami w rękach pilnują redaktora. Nisko w suterynie grzmią maszyny rotacyjne. Zecerzy w płóciennych bluzach, zawalani farbą drukarską, pochylają się nad ułożonemi kartkami. Nie widząc człowieka w bieli, składają zdanie: *Pod posągiem Petofiego uczci Eugenjusz Lander rocznicę 15 marca. Muzyka odegra Marsyljankę.*

Człowiek w bieli szepce:

„Coście uczynili z pieśniami mojemi?"

Idzie sam zawsze wśród znanych ulic i ogrodów, wielkich domów z kolumnami, drzew odrętwiałych od zimna.

Oto stanął przed Muzeum Narodowem. Krata rozsuwa się, otwierają się drzwi, rozbudzona straż patrzy przez okienka budki, nie widzi nic i sądzi, że to sen. Wiatr gwiżdże podnosząc kołnierz białego człowieka wstępującego na schody. Zatrzymuje się on wysoko, patrzy, nieruchomy pytając wiatrów nocnych, dlaczego nie powtarza już nikt dawnego wołania: „Wstańcie Węgrzy!"

Biały ten człowiek nie wie więc, kto dziś panuje nad szczytami Hargita, nad polem Seges-

voru. Jest bardzo zmęczony długą i smutną pielgrzymką... Szepce:

„Coście uczynili z mogiłą moją? Niema już schronienia. Nie wie już dokąd pójść w tem mieście w noc 15 marca!"

Ach niech odejdzie prędzej, niech odejdzie w milczeniu, gdyby bowiem tu został, gdyby się ośmielił mówić, jutro zrana rewolucyjny rząd „niezależnych i autonomicznych Węgier" kazałby go aresztować podług nowego prawa. Aresztować Aleksandra Petöfiego, jako kontrrewolucjonistę...

21 marca

Deszcz pada. Ciężkie krople uderzają w szybę. Zdaje się, jakgdyby śmierć pukała kościstym palcem, aby ją wpuszczono.

Rząd podał się do dymisji. Podpułkownik Vyx wystosował ultimatum. Ententa posuwa naprzód linje demarkacyjne i żąda strefy neutralnej, Karolyi zaś chce oddać podobno swą władzę komunistom.

To jest zemsta Karolyi'ego... Podpułkownik Vyx wysłał z Budapesztu w ostatnich dniach oddziały francuskie. On wiedział, co się szykuje.

Koło godziny siódmej przyszedł do nas śmiertelnie blady Józef Cavalier, młody dziennikarz.

— Karolyi ustąpił — mówił urywanym głosem. — Z rady ministrów posłano Kunfiego po Belę Kuna. Kunfi przywiózł go automobilem do Prezydjum Rady Ministrów. Socjaliści pogodzili się z komunistami. Tworzy się dyrektorjat, po-

dobno Bela Kun, Tibor Samuelly, Zygmunt Kunfi, Józef Pogany i Wojciech Vago zostaną jego członkami. Mają ustanowić sąd rewolucyjny. Dzisiaj aresztowano dużo osób. Niech pani ucieka.

Gdy mówił, na ulicy zaczęto strzelać. Odrazu stanął mi przed oczami obraz: Wielki pusty dom, pęka ostatnia klamka, ostatnie drzwi się otwierają. Jakiś przeraźliwy głos rozlegał się na ulicy:

„Niech żyje dyktatura proletarjatu!..."

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.